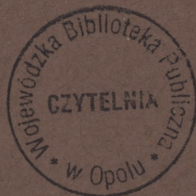


DROGA

Kolekcja
Emilia Kornasia



N5

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

MAJ 1936

ROK XV

Nr. 5

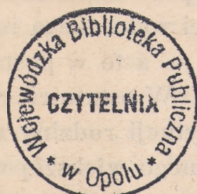
T R E Ś Ć

Wacław Makowski: Społeczeństwo a państwo	341
Jaromir Ochęduszek: Stosunki polsko-niemieckie (I) . . .	359
Antoni Plutyński: Aktywizacja życia gospodarczego Polski .	372
Paweł Hertz: Pokolenie	386
Henryk Kleist: Książę Homburgu (II). Przełożył Jan Sztaudynger	387
William Blake: Księga Thel	406
Lech Niemojewski: Czesław Przybylski, architekt-profesor .	410
Jan Brzękowski: Życie polityczne Francji w ostatnim czterolecu	416
KSIAŻKI. Bohdan Kieszkowski: Platonizm renesansowy (J. Blieberg). — Gabrjel Korbut: Szkice i drobiazgi historyczno-literackie (Stefan Napierski). — Jan Kott: Podwojony świat (Stefan Flukowski). — Jadwiga Gamska-Lempicka: Między niebem a ziemią (J. E. Płomieński). — Aron Cotrus: Wybór wierszy (Anna Klipper). — S. Konstantynow: Mapa Afryki opowia- da... (S. F.) : :	429

C E N A N U M E R U ZŁ. 2.—

DROGA Nr. 5

Kolekcja
Emila Kornasia



WACŁAW MAKOWSKI

SPOŁECZEŃSTWO A PAŃSTWO

Pisarz francuski z drugiej połowy XVI-go w., Jean Bodin — autor dzieła o rzeczypospolitej, rozpoczynającego nowoczesną naukę o państwie — rozróżnia dwa elementy porządku społecznego: rodzinę i państwo (które nazywa, stosownie do panującej podówczas terminologii, rzeczpospolitą). Obydwie te instytucje mają za zadanie rządzenie: rodzina rządzi tem, co jest własne, rzeczpospolita — tem, co jest wspólne. Te dwa elementy: prywatno-rodzinny i publiczno-państwowy, wystarczały do stworzenia teorii życia społecznego, do ujęcia i wytłumaczenia wszystkich zjawisk życia zbiorowego tak, jak się ono przedstawiało w epoce Bodina.

Od tego czasu zaszły bardzo głębokie zmiany w strukturze tego życia: oto człowiek, który w sprawach prywatnych miał być podporządkowany rządowi rodziny, a w sprawach publicznych — rządowi państwa, podporządkował sobie jedną i drugie. Rodzina w rozwoju rzeczy stała się w w. XIX formą kontraktu, zawieranego przed urzędnikiem i rozwiązywanego przed tymże urzędnikiem aktem woli uczestników kontraktu, a państwo stało się aparatem organów publicznych, podległym woli jednostek i mającym na celu ochronę ich przyrodzonych praw. Jednostka wyzwoliła się zarówno z pod rządów rodziny, jak i z pod rządów państwa, poddając obie te instytucje swoim rządowi.

Któż z nas mógłby dziś sobie wyobrazić powrót do instytucji rodziny czy raczej rodu z czasów Bodina, kiedy panowały stosunki patryarchalnej łączności, opartej o pokrewieństwo i wspólność własności rodowej oddanej pod władanie i rządzenie najstarszemu w rodzie? Dziś ani patryarcha ani wogóle instytucja rodu nie ma władzy nad mieniem i nad osobą człowieka; jednostka ma swoją prywatną własność i rządzi nią według swego własnego uznania. Ostatnie pozostałości władzy rodziny w postaci skrepowania kobiety w dokonywaniu niektórych aktów majątkowych i uzależnienia jej od ojca lub męża, znane kodeksowi Napoleona, stały się już anachro-

nizmem. Przepisy prawa mówią jeszcze o pewnych obowiązkach wzajemnych pomiędzy najbliższymi członkami rodziny, ale obowiązki te są coraz bardziej ograniczone, zarówno co do istoty, jak i co do zakresu osób, a nawet prawo spadkowe, ten najbardziej podstawowy czynnik majątkowej jedności rodu, ulega istotnym ograniczeniom na rzecz „tego co ma być wspólne“ — a to w postaci postępowego podatku spadkowego o wysokiej skali.

W ostatnich czasach mamy do czynienia z tendencją do podniesienia instytucji rodziny na wyższy poziom, do uczynienia z niej czynnika społecznego większej wagi, aniżeli nim może być kontrakt między jednostkami na czas nieokreślony aż do wymówienia. Nie ulega jednak wątpliwości, że zagadnienie rodziny pozostaje w związku z innymi zagadnieniami życia społecznego i że dopiero w związku z całokształtem tych zagadnień można rozumieć przeobrażenia, jakim rodzina ulega i ulegać będzie. Doprowadzając do absurdu ten proces wyzwala się człowieka z instytucji rodziny, głośny powieściopisarz angielski Huxley maluje obraz przyszłego fantastycznego świata, gdzie ludzie produkowani są w zakładach biotechnicznych, a związek pomiędzy nimi staje się niemoralny i przestępny, skoro miałyby trwać dłużej. Jest to satyra, której założenie opiera się na niewątpliwie słusznym spostrzeżeniu tego zjawiska społecznego, jakim jest stopniowe rozluźnianie pierwotnie potężnej więzi rodzinnej.

Druga instytucja, o której mówił Bodin, — państwo, — także ulega znacznym przeobrażeniom i także traci wiele ze swojej wyłączności. Państwo Bodina było tak samo zwarte i wyłączone w swoim zakresie, jak jego rodzina w swoim. Miało to być państwo, w którym „poddani posłuszni są prawom monarchy, a monarcha kieruje się prawem natury, pozostawiając poddanym możliwość korzystania ze swobód naturalnych i z własności“. To ostatnie zastrzeżenie było już właściwie pewnem ograniczeniem państwa, bowiem pierwotny władca rozporządzał i życiem i wolnością i mieniem swoich poddanych. Wyzwolenie jednostki, które prowadziło do osłabienia roli rodziny, w podobny sposób wpływało także na rolę państwa.

Deklaracja praw człowieka i obywatela z r. 1789 stanowiła, że celem państwa jest „ochrona przyrodzonych i nie ulegających przedawnieniu praw człowieka“. O rodzinie jako elemencie ładu społecznego już tu nie ma mowy, jest mowa tylko o jednostce, jej prawach i ochronie dawanej tym prawom przez państwo. Zaczyna się okres panowania jednostki, okres pogardy dla wszystkiego, co jednostkę w jej wolności mogłoby krępować, a więc i dla więzów rodzinnych i dla więzów państwowych. Skoro już nie można żyć inaczej jak w zbiorowości, to trzeba uczynić tę zbiorowość jaknajmniej krępującą, jaknajmniej oddawać ze swej indywidualnej wolności. Celowi temu służyć ma państwo i prawo.

Wiele i często się mówi ostatnimi czasy o indywidualizmie i liberalizmie, tak wiele i tak często, że jest to już temat na wszystkie strony wy-czerpany; to też nie mam zamiaru rozwodzić się nad nim, a jeżeli o nim mówię — to dlatego, że w związku z nim pozostaje inne spostrzeżenie, do-tąd jeszcze nie poruszane. Człowiek wyzwolił się w granicach bardzo sze-rokich, jeżeli nie całkowicie, z więzów rodziny i państwa, — stał się sam ich władcą, ale nie wyszedł poza granice związku społecznego. Jeszcze w końcu XVIII w. w języku polskim nie używano określenia „społeczeń-stwo“, mówiono „towarzystwo“, tłumacząc w ten sposób literalnie francu-ski wyraz *société*. Ale już w połowie w. XIX określenie to zaczęło nabierać tak wyraźnie nowego znaczenia, że zaszła potrzeba stworzenia nowego wy-razu. Co więcej, powstała nowa nauka o społeczeństwie, jako o zjawisku samodzielnym — nauka socjologii, nauka o zbiorowości ludzkiej, o roz-maitych jej formach i objawach, nauka, która do dziś dnia ma wielu prze-ciwników zarzucających jej bezprzedmiotowość, jako że pojęcie społeczeń-stwa nie wydaje się tym krytykom dość ścisłym przedmiotem do samodziel-nych badań naukowych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że przedmiot ten w rozmaitych, mniej lub więcej ściśle określonych formach staje się przedmiotem badań; co wię-cej: staje się zagadnieniem podstawowym w rozważaniach o życiu społecz-nem. Gdybyśmy chcieli dziś powiedzieć tak, jak nasz uczony z XVI-go w., że w życiu zorganizowanej ludzkości są dwa decydujące elementy: rodzina i państwo, to niewątpliwie twierdzenie takie nie byłoby przekonywujące. Czynnikiem najważniejszym jest właśnie ten nowy czynnik, który nazywa-my społeczeństwem. Cóż to jest społeczeństwo? Spróbujmy dojść do tej de-finicji drogą indukcyjną.

Oto widzieliśmy rozluźnienie jedności rodowej: człowiek wyzwolony, nie skrępowany obowiązkami w stosunku do swego rodu, mógł robić co mu się podobało, aby tylko nie krzywdził innych ludzi. Z tymi innymi ludźmi połączył go zatem splot zależności, innej niż ta, jaką odczuwał w rodzinie, ale niewątpliwie zależności rzeczywistej. W tej zależności chcę odróżnić dwie siły: zewnętrzną i wewnętrzną. Pierwsza z nich tkwi w samej istocie życia zbiorowego i sprawia, że każdy czyn człowieka ma swoje skutki dla innych ludzi — i odwrotnie: jest wywołany przez wpływ działania innych ludzi. Druga tkwi w naturze człowieka i wyraża się w emocjach, ja-kich człowiek doznaje w stosunku do innych ludzi i do zbiorowości ludzkiej.

Obok związków pochodzenia, obok związków wspólnej własności — najsilniejszym związkiem, utrzymującym instytucję rodziny, jest emocja, jest miłość rodzinna. Jest ona objawem naturalnym, przynajmniej za taki przez nas uważanym; możemy, gdybyśmy chcieli, opierając się na przesłan-

kach materializmu ekonomicznego, wywodzić, że to uczucie miłości rodzinnej odpowiada pewnym formom gospodarczym, że z chwilą zastąpienia gospodarki indywidualnej gospodarką fabryczną następuje rozkład rodziny i zanik, a przynajmniej osłabienie uczuć miłości rodzinnej; jednak rozumowanie to nie wyjaśni nam ani istoty ani źródeł uczucia jako takiego i będziemy musieli mimo wszystko uznać uczucie samo za przyrodzone. Uczucie sympatji, miłości, czułości, emocji dodatniej w stosunku do innego człowieka powstaje w rozmaitych warunkach, zależne jest w swoim kierunku i natężeniu od rozmaitych czynników, ale w istocie swojej jest przyrodzone człowiekowi.

Z drugiej strony: jeżeli zechcemy przyjrzeć się życiu człowieka w jakimkolwiek zakresie, obejmując jego całość lub analizując wyjęty z tej całości szczegół — spostrzeżemy z łatwością stałą zależność wszystkiego, co człowiek przedsięwzięje najbardziej nawet egotycznie ujmując swój zamiar, od tych warunków społecznych w jakich przedsięwzięcie powstaje. Nietylko skutki czynów ludzkich, nietylko same czyny, ale myśli i słowa, uczucia i pojęcia, sądy i oceny — wszystko to jest wynikiem współżycia, wszystko to kształtuje się jako wyraz wpływu jednych ludzi na innych i jako skutek ich wzajemnej zależności ekonomicznej, intelektualnej, moralnej. Od tej zależności człowiek wyzwolić się nie może, tkwi ona bowiem, jako zjawisko zewnętrznie dane, w samej istocie życia zbiorowego; ale też, z wyjątkiem nielicznych odchyłeń jednostkowych, zresztą także raczej pozornych — wyzwolić się nie chce. Bowiem, jeżeli weźmiemy jakąkolwiek grupę społeczną, to zobaczymy, że poza zależnością obiektywną, emocje sympatji subiektywnej łączą jej uczestników.

*

Istnienie zjawiska, które nazywamy społeczeństwem, opiera się więc na dwóch czynnikach: na obiektywnej współzależności ludzi między sobą, która wytwarza nie ulegającą woli człowieka więź, łączącą go z innymi ludźmi, oraz na subiektywnych emocjach, odczuwanych przez człowieka w stosunku do innych ludzi i do współżycia z nimi. Te dwa czynniki mają swój wyraz w obiektywnych prawach solidarności społecznej i w subiektywnych podnieciach, popychających człowieka do działania w myśl tych praw i tej solidarności. Nie mam zamiaru zastanawiać się obecnie nad niesłychanie ciekawym zagadnieniem zależności każdego naszego czynu od praw społecznych, ani wpływu, jaki każdy czyn człowieka na życie społeczne wywiera. Chcę natomiast pomówić o wyrazach emocyj społecznych człowieka. Wyrazem tym są uczucia, jakie człowiek żywi w stosunku do innych ludzi, oraz czyny, w jakich te uczucia uzewnętrznia.

Nikt oczywiście nie mógłby utrzymywać, że uczucia społeczne człowieka są jednakowe w stosunku do wszystkich innych ludzi; jest rzeczą powszechnie wiadomą, że te uczucia są różne i zależą od szeregu przyczyn, a przede wszystkim od podobieństwa i wspólności zewnętrznej i wewnętrznej pomiędzy ludźmi. Na tej podstawie tworzą się grupy społeczne: narodowe, klasowe i t. p., oraz organizacje: partje, związki i t. p. Naród jest grupą społeczną, powstającą wskutek wspólności pochodzenia i długotrwałej łączności kulturalnej; klasa jest odpowiednikiem położenia ekonomicznego i roli w ustroju gospodarczym; stronnictwo polityczne jest grupą, formującą się sporadycznie na podstawie emocjonalnego ustosunkowania do jakiegoś konkretnego zagadnienia politycznego. To są grupy niezorganizowane. Naród jest grupą społeczną trwałą, wytworzoną przez trwałe czynniki w strukturze fizycznej i psychicznej człowieka; klasa jest objawem wtórnym, zależnym od form ustroju gospodarczego; stronnictwo jest przypadkowym i przemijającym zbliżeniem emocjonalnem.

Inny charakter mają grupy społeczne zorganizowane. Obok mniej lub więcej trwałych czynników przyczynowych, występują tu czynniki celowe — zamierzenia ludzi, zadania, którym ich przedsięwzięcie ma służyć. Ponieważ konkretne zamierzenia ludzkie wtedy tylko mogą liczyć na realizację, kiedy są możliwie określone i wyraźnie ograniczone, będziemy więc mieli tyle różnych organizacyj społecznych, ile może być różnych zadań, skupiających mniejsze lub większe grono ludzi w dążeniu do realizacji tych zamierzeń. Związek Zawodowy Metalowców, Klub Sportowy „Warszawianka“, L. O. P. P., Unja Międzynarodowa Współpracy Intelktualnej, Kółko Rolnicze w Nigdzienicach, Spółka Akcyjna i t. p. — nie będę się zabawiał tem wyliczaniem, któremu niema końca. Zresztą nie to wyliczenie, dające słaby przedsmak różnaitości celów zorganizowanej pracy, ale samo stwierdzenie, że w życiu jest mnóstwo takich zadań, które tylko zorganizowaną współpracą mogą być osiągnięte, jest w tym wypadku najważniejsze.

Te różne grupy i organizacje społeczne krzyżują się ze sobą w najrozmaitszych kombinacjach, tworząc w całości obraz życia społecznego. Piotr i Paweł są członkami tej samej spółdzielni mleczarskiej, razem zabiegają o lepsze maszyny, o wyższą jakość wyrobów, o lepszy zbył i każde parę groszy zysku na kilogramie cieszy ich obu. Ale poza tem ich zainteresowania chodźć mogą różnemi drogami, mogą należeć do różnych klas i narodów, wyznawać różną wiarę i nawet zwalczać się wzajem na innych polach. Obojętni sobie, niechętni, a nawet jawnie wroddzy w jakimś jednym miejscu, będą związani solidarną potrzebą społeczną, będą współdziałali ze sobą świadomie, lub nawet nieświadomie.

Przyglądając się życiu społecznemu, jak się ono dokoła nas toczy, jak

sami w niem bierzemy udział — spostrzeżemy, że są takie sprawy, w których widoczna jest solidarność bardzo wielkiej ilości ludzi i grup społecznych — tak dalece, że możemy mówić o solidarności powszechnej, o czemś, co jest wspólne wszystkim. Mówiąc „wszystkim“, możemy mieć na myśli całą ludzkość, wszystkich ludzi wogóle; możemy również obejmować tem określeniem uczestników pewnej tylko grupy ludzkiej, np. wszystkich Europejczyków, przeciwstawiając ich np. mieszkańcom Ameryki, albo wszystkich mieszkańców wysp angielskich, przeciwstawiając ich mieszkańcom kontynentu i t. p. Takie wielkie, solidarne powszechności ludzkie nazywamy społeczeństwami. Mówimy więc o społeczeństwie ludzkim, albo o społeczeństwie europejskim lub amerykańskim, o społeczeństwach kulturalnych i dzikich i t. p.

Przy całej rozbieżności interesów i potrzeb, poglądów i dążeń poszczególnych osób i grup cząstkowych, tworzących się w obrębie całości społeczeństwa, istnieje pewna suma spraw i zadań, które są dla nich wszystkich jednakowe i stanowią o istnieniu pomiędzy nimi solidarności społecznej, a więc o istnieniu samego społeczeństwa. Przyczyny, składające się na wytwarzanie poszczególnych samodzielnych społeczeństw wyodrębnionych z reszty ludzkości, mogą być rozmaite. Wspólność miejsca zamieszkania, pochodzenia, tradycji, języka, kultury, warunków i potrzeb gospodarczych i t. p., wszystko to w rozmaitych kombinacjach tworzyć może złożoną całość czynników solidarności społecznej. Nawiasem zaznaczę, że nie należy utożsamiać pojęcia społeczeństwa z pojęciem narodu, naród bowiem jest grupą społeczną o charakterze historycznym, grupą trwałą, niezmienną w ciągu pokoleń, obejmującą zarówno ludzi żyjących, jak ich przodków i potomków, — społeczeństwo natomiast jest aktualną żywą zbiorowością, która może być narodowo jednolita, ale może także składać się z grup narodowo różnych, albo też obejmować tylko część większej narodowej całości.

Więź solidarności społecznej nie jest bezpośrednio zależna od człowieka, od jego świadomej decyzji i działalności. Tkwi ona w naturze życia, w charakterze stosunków pomiędzy ludźmi, w cechach psychicznych człowieka. Nie jest ona celowa, ale przyczynowa w swojej istocie, i na tem przyczynowem podłożu powstaje dopiero pole celowej działalności ludzkiej, polegającej na rozumnem wyzyskaniu naturalnych wartości społecznych dla tworzenia wartości społecznych nowych, które ogólnie nazywamy kulturą społeczną — tak mniej więcej, jak ogrodnik tworzy drogą właściwych zabiegów kultury z dzikich, niepozornych, kołących krzaków wspinałe róże, najpiękniejszy kwiat.

Tak właśnie powstają udoskonalone formy życia społecznego, coraz

większe tego życia bogactwo. Jeżeli porównamy to, co wiemy o prymitywnym życiu naszych przodków albo ludów o spóźnionej kulturze, z formami naszego życia współczesnego — to spostrzeżemy, na czym polega ta twórczość społeczna. Składają się na nią indywidualne i zbiorowe prace i przedsięwzięcia, często — nawet podjęte w jakimś zamiarze prywatnym i małostkowym, ale siłą naturalnej współzależności prowadzące do skutków, mających znaczenie społeczne nie dające się ani przewidzieć ani obliczyć. Tak np. kiedy Kolumb szukał dokoła świata drogi do Indyj, nie zdawał sobie sprawy, że w wyniku jego wyprawy nastąpi całkowite przekształcenie życia w skali nie tylko europejskiej, ale światowej. Przykładów takich znaleźć możemy dowoli.

Życie społeczne składa się z działalności poszczególnych ludzi, zaś ta działalność opiera się na wewnętrznej potrzebie, na przyrodzonym popędie, na samodzielnej inicjatywie człowieka, który dla inicjatywy swej musi znajdować zwolenników i współpracowników. W tym procesie niema przymusu, niema rozkazu, niema siły fizycznej; jeżeli się mówi o obowiązku społecznym, to ma się na myśli obowiązek, wynikający z pobudek psychicznych — t. zw. obowiązek moralny, na którego straży nie stoi żadna siła fizyczna; groźniejsza od fizycznej może być wprawdzie siła t. zw. opinii publicznej, która w tej dziedzinie panuje, niema jednak mowy o jej formalnej mocy obowiązującej. Życie społeczeństwa polega zatem na ciągłym zmaganiu się inicjatywy i poczynań jednostki z bezwładem masy; obydwie te czynniki związane są ze sobą zależnością wzajemną, przyrodzoną i nie dającą się uniknąć.

*

Odpowiednikiem naturalnej współzależności społeczeństwa jest formalna współzależność państwa. To wszystko, co w społeczeństwie jest spontaniczne, co jest wynikiem czynników naturalnych, wewnętrznej potrzeby i gry naturalnej współzależności, — to wszystko w państwie jest ujęte w formy stałe, uporządkowane, uregulowane, unormowane, poddane działaniu formalnego obowiązku i stojącego na jego straży przymusu. To, co w społeczeństwie jest darem lub ofiarą, w państwie jest podatkiem i powinnością. W życiu społecznym inicjatywę podejmować może każdy, kogo na to stać, a realizować — każdy, kto znajdzie dla swej myśli oddźwięk w opinii społecznej. W państwie, jak to mówi Konstytucja, inicjatywa należy do rządu i do sejmu, a realizować ją można poprzez uchwały ciał ustawodawczych, zapadłe w trybie ustawami przepisany. Opinia publiczna w państwie ma bowiem swoje formalne organy i siłę formalnie wiążącą.

Możnaby powiedzieć, że pomiędzy istotą społeczeństwa a istotą państwa zachodzi taka różnica, jak pomiędzy miłością a małżeństwem. Miłość

jest spontaniczną pobudką działania, małżeństwo — instytucją formalną. I tu i tam istnieje wzajemna zależność pomiędzy dwojgiem ludzi, solidarność ich współżycia, wspólność dążeń, wspólność uczuć, wspólność obowiązków; ale w miłości wszystko to opiera się na wewnętrznej potrzebie, zaś w małżeństwie — ponadto na formalnym zobowiązaniu wzajemnym. Mówi się czasem cynicznie, że małżeństwo jest grobem miłości; tak może być tam, gdzie formalizm zabija szczerość wewnętrznej potrzeby — tak być może, ale nie musi, małżeństwo może być spotęgowaniem miłości, instytucją powołaną do jej kultywowania.

Podobnie rzecz się ma ze społeczeństwem i państwem. Państwo może tłumić życie społeczne, ale może także być spotęgowaniem życia społecznego, instytucją powołaną do jego kultywowania. „W ramach państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa”: tak rozwiązuje tę sprawę przepis Konstytucji polskiej. I jeszcze jedno podobieństwo: miłość dąży do małżeństwa jako swej formalnej realizacji; społeczeństwo dąży do państwa jako swego formalnego odpowiednika.

Oczywiście, te porównania mogą służyć tylko jako ilustracja i ożywienie rozumowania, nie mogą dawać ścisłej analogji. Faktem niespornym i ważnym jest stwierdzenie, że państwo jest formalnym odpowiednikiem społeczeństwa i że społeczeństwo dąży do tego swego formalnego odpowiednika, t. j. do upaństwowienia się, do przekształcenia współzależności naturalnej na formalną, a także że w tem przekształceniu tkwią pewne poważne niebezpieczeństwa. Państwo i społeczeństwo istnieją obok siebie i przenikają się wzajemnie, ale również współzawodniczą ze sobą. Rola każdego z nich jest podobna, każde z nich bowiem powstaje jako wyraz solidarności współżycia, ale rola ta jest zarazem odrębna dla każdego z nich, bowiem każde w inny sposób służy realizowaniu tej solidarności.

Historycznie biorąc, stosunek pomiędzy państwem a społeczeństwem jest różny w rozmaitych epokach. Jak to widzieliśmy wyżej, pojęcie społeczeństwa w dzisiejszem rozumieniu obce było nie tylko myślicielom XVI-go, ale jeszcze i XVIII-go w. Potrzeby społeczne w znaczniejszym stopniu były zaspokajane przez państwo; zresztą potrzeby te były bardzo ograniczone. Rozwój życia sprowadził komplikację potrzeb, powstanie nowych pojęć, a między innymi także pojęcie społeczeństwa. Czynnikiem, który to pojęcie wysunął na widownię i nadał mu dominujące znaczenie, było dokonane na przełomie XVIII-go i XIX-go w. wyzwolenie człowieka.

Człowiek wyzwolony — pomimo wspaniałych dytyrambów, jakie wyśpiewywano na cześć tej wolności przyrodzonej — czuł się osamotniony i szukał oparcia w jakiejś zbiorowości. Powstaje wtedy zagadnienie rozmaitych skupisk społecznych i zagadnienie społeczeństwa, jako najwyższej

syntetycznej postaci współżycia ludzi wyzwolonych. Ibsen w jednym ze swoich głośnych dramatów wypowiedział wielokroć potem powtarzany i spopularyzowany aforyzm: „Najsilniejszy jest człowiek samotny“; właściwie należałoby ten aforyzm odwrócić i twierdzić, że tylko człowiek bardzo silny wewnątrz może być samotnym, każdy inny potrzebuje oparcia o jakąkolwiek zbiorowość. Wzajemna zależność gospodarcza i kulturalna ludzi, a z drugiej strony — emocjonalna potrzeba łączności z innymi ludźmi, były czynnikami tworzącymi skupienia społeczne, pomimo głoszonego i propagowanego wyzwolenia jednostki. Nauka, literatura, a przede wszystkim sama praktyka życia wysuwa na plan pierwszy sprawy skupień społecznych. Powstaje nauka o społeczeństwie; odkrywane są coraz nowe prawa życia społecznego, coraz nowe siły, rządzące powstawaniem i rozwojem społeczeństw. Nowy stosunek do życia uzyskuje nazwę „socjalizmu“, co w gruncie oznacza supremację społeczeństwa nad jednostką i jest jakgdyby przeciwstawieniem indywidualizmu. Z biegiem czasu określenie to zostaje zacieśnione jako nazwa pewnego kierunku polityczno - społecznego.

Do wysunięcia na czoło zagadnień społecznych i samej koncepcji społeczeństwa dochodzi się rozmaitymi drogami i to właśnie jest najciekawsze, że pomimo różnicy dróg myślowych, pewne spostrzeżenia o charakterze społecznym są jakgdyby wspólne. Czy to będzie pozytywizm Comte'a i jego koncepcja pozytywnej nauki o społeczeństwie, czy ewolucjonizm Spencera i jego socjologia jako korona nauk o człowieku, czy to będzie ekonomiczny materializm Marxa i jego rozważania o społecznej sile czynników gospodarczych, aż do całkowitego podporządkowania jednostki tym siłom społecznym, czy anarchiczny socjalizm Proudhona, domagający się roztopienia państwa w społeczeństwie gospodarczym, korporacyjnie zorganizowanym, — to właśnie wspólną cechą ich wszystkich będzie wprowadzenie do rozważań nowego, dotąd nie docenianego tematu, jakim jest samo pojęcie społeczeństwa. Kiedy Rousseau w końcu XVIII-go w. pisał o umowie społecznej, albo o woli społecznej — pojęcia te przedstawiały mu się jeszcze dość prymitywnie i mglisto; kiedy zaś socjologowie końca XIX w. zajmują się zagadnieniami psychologii społecznej, w szczególności zaś emocjami społecznymi, to opierają swoje wywody już na wynikach badań i chwalą się stosowaniem metody przyrodniczej do swoich wywodów naukowych. Staje się rzeczą coraz bardziej jasną, że społeczeństwo jest zjawiskiem samodzielnym, różnym od prostej zbiorowości pewnej liczby ludzi.

Głosząc wyzwolenie człowieka, reformatorzy XVIII-go w. bali się jednak tej niewiadomej, jaką stanowić mógł w swoich poczynaniach człowiek wyzwolony. Dlatego spotkamy tam paradoksalne napozór twierdzenia, formułujące istotę wolności w ten sposób, że ma ona polegać na dzia-

łaniu zgodnem z wolą powszechną, a kłoby tego czynić nie chciał, to się go „zmusi aby był wolnym“, jak to wypowiadał Rousseau. Aby zabezpieczyć tę wolę i wolność, należało się ograniczyć do jedynej formy zorganizowanej ochrony solidarnych potrzeb ludzkich, ochrony praw przyrodzonych człowieka przez państwo. Tymczasem, — jak to w sposób prosty formułuje cytowany wyżej przepis naszej Konstytucji, — w ramach państwa zaczęło się kształtować życie społeczeństwa, walczyć jednak często musiało z uroszczeniami państwa do wyłączności. Działo się to tem łatwiej, że państwo XIX-go w. przy całej swej tendencji do wyłączności ograniczało w sposób istotny zakres swego działania, głosząc, że chce być tylko państwem prawem, organizacją i stróżem porządku prawnego, pozostawiając poza sferą swoich bezpośrednich zainteresowań wszelkie inne objawy życia społecznego. Na tych więc polach kultury pozaprawnej, a przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, zaczęła się mniej więcej swobodnie odbywać gra społeczna, prowadząca w konsekwencji do utworzenia pojęcia społeczeństwa i przeciwstawienia tego pojęcia państwu.

Powstała nowa struktura gospodarcza, oparta na inicjatywie prywatnej i na zasadzie wolności przemysłu i handlu, wolności umowy i wolności rynku. Jedną z jej cech charakterystycznych było przeciwstawienie państwa i społeczeństwa; w stosunku państwa do społeczeństwa obowiązywała zasada liberalizmu i nieingerencji, natomiast w samym społeczeństwie powstają coraz wyraźniejsze skupienia, nietylko ściśle wiążące swoich członków, ale i żądące w tym czy innym zakresie do wywierania decydującego wpływu na życie społeczne wogóle i na państwo, które pomimo liberalizmu, jakiego od niego wymagano, mogło jednak być użytecznem narzędziem w rękach zwartej grupy. Te skupienia społeczne tworzyły się nie na podstawie pokrewieństwa z urodzenia, jak to było jeszcze za czasów Bodina, ale na podstawie pokrewieństwa z wyboru albo pokrewieństwa interesów. Hasło interesów ekonomicznych i ich supremacji nad wszystkimi innemi siłami społecznymi, hasło społeczeństwa ekonomicznego panuje niepodzielnie w nauce o społeczeństwie w połowie XIX-go w.

Proudhon, którego już cytowaliśmy i który w transpozycji swoich uczniów jest uważany za inspiratora korporacyjnego ustroju faszystowskiego, nawet wyraźnie prowadzi takie przeciwstawienie: z jednej strony — państwo, z drugiej — „społeczeństwo ekonomiczne“. Państwo nie ma łaski w oczach Proudhona, przynajmniej w rewolucyjnym okresie jego twórczości; ustrój państwa nazywa on sztucznym i przemijającym — w przeciwstawieniu do ustroju społeczeństwa ekonomicznego, ustroju organicznego, wynikającego z samej natury ludzkości, koniecznego i liberalnego. Stąd prawa ekonomiczne społeczeństwa powinny stać wyżej od

praw politycznych państwa, a dalej konsekwentnie: państwo powinno być ograniczone przez grupy społeczne, w tych grupach tkwi bowiem istotna władza społeczna; temi grupami społecznymi mogą być robotnicy jednego warsztatu, spółka, akademja, orkiestra, armja, szkoła, klub, słowem — wszelkie zgrupowanie, powstające zgodnie z naturalnemi regułami skupiania się społecznego.

Rówieśnik Proudhona Marx jak wiadomo tworzy w tym samym czasie koncepcję materialistycznego ujmowania życia społecznego, według której jedyną realną siłą w społeczeństwie są interesy ekonomiczne, zaś wszystko inne jest tylko taką czy inną nadbudową w stosunku do tych interesów. Znowu więc ponad państwo i jego znaczenie społeczne wyrastają siły społeczne bezpośrednie, tylko że dla Marxa nie występują one w postaci zrzeseń, ale w postaci klas społecznych, walczących ze sobą o supremację ekonomiczną. Burżuazja i proletarjat — to są dwie klasy, dwa aktywne elementy społeczne; państwo może być tylko jednym z narzędzi walki w rękach tej z walczących klas, która niem zawładnie.

Obydwie te teorje, do których zresztą należałoby dodać jeszcze poglądy zwolenników czystego liberalizmu ekonomicznego, oraz tych wszystkich, którzy tworzyli rozmaite koncepcje kompromisowe i pośrednie, mają dla nas dzisiaj znaczenie jako dowód, że społeczeństwo i jego życie samodzielne wysuwało się na plan pierwszy, budząc najżywsze zainteresowanie teoretyków, że zatem i w życiu musiało zachodzić coś takiego, co usprawiedliwiałoby takie zainteresowania. Zarówno powstawanie klas społecznych, jak tworzenie się skupień i zrzeseń rozmaitego rodzaju, jak wreszcie wpływ społeczny ich działalności i działalności inicjatywy prywatnej, opartej na wykrywanych prawach ekonomicznych, na ustalanej zależności wewnątrzspołecznej — były faktem i dlatego interesowały i badaczy i działaczy społecznych.

Odpowiednikiem formalnym tego okresu jest t. zw. państwo prawne, czyli państwo ograniczone do czynności związanych z tworzeniem i kultywowaniem norm prawnych, powstających z inicjatywy społecznej i służących wolnej grze sił, jedynie istotnych sił wewnętrznych społeczeństwa ekonomicznego. Pomimo takiego teoretycznego ograniczenia roli państwa, wszyscy jednak zdają sobie sprawę i rozumieją, a przynajmniej odczuwają, że organizacja państwowa może spełniać i spełnia w istocie także pewne inne zadania społeczne, że może ona być narzędziem pewnej polityki społecznej, że może grać w życiu społecznym rolę czynnika co najmniej równorzędnego, jeśli nie donioślejszego, aniżeli jakikolwiek inny czynnik, wyliczony przez teoretyków społeczeństwa ekonomicznego. Dlatego też jest rzeczą dla wszystkich praktycznie ważną ustalenie transmisji, zapo-

mocą której ruch społeczny mógłby się przekształcać na ruch polityczny, na działalność państwową, tak jak ruch pionowy tłoków motoru samochodowego przekształca się na ruch obrotowy kół, a ten znów na ruch prostoliniowy pędzącego wozu.

Obydwa składniki aparatu, i państwo i społeczeństwo, tworzą zatem organy, przeznaczone do spełnienia tej roli. Państwo, stosownie do swej istoty formalnej, tworzy takie organy formalne; społeczeństwo znowuż, odpowiednio do swoich cech samorządności, tworzy specjalne skupienia samorządne. Organem państwowym społeczno - państwowej transmisji jest parlament. Nie potrzeba omawiać struktury parlamentu, ponieważ znamy ją wszyscy dostatecznie, aby rozumieć, że jest ona aparatem państwowym, tak czy inaczej w poszczególnych państwach zorganizowanym, przeznaczonym do łączenia społecznej treści z państwową formą — aparatem w tej swojej roli niezbędnym, jak o tem mówił niejednokrotnie Marszałek Piłsudski.

Do tego aparatu państwowego dostosowane być musiały pewne urządzenia społeczne, umożliwiające jego funkcjonowanie. Ponieważ społeczeństwo, jak to widzieliśmy, jest z istoty swej terenem tworzenia się skupień różnego typu — i w tym zakresie musiały powstawać różnego typu skupienia, albo wprost przeznaczone albo przystosowujące się do roli reprezentacji społecznej wobec państwa. Tutaj przede wszystkim wymienić należy partje polityczne. Podstawą tworzenia się partyj politycznych jest w zasadzie określenie stosunku państwa do społeczeństwa, określenie wymagań, jakie społeczeństwo stawia państwu, i takie też są w zasadzie t. zw. programy partyjne. Np. czy państwo ma zachować się całkowicie biernie w stosunku do poczynąń społeczeństwa ekonomicznego, czy ma stać na stanowisku bezwzględne liberalizmu, czy też (i w jakim zakresie) możliwy jest i potrzebny protekcyjizm i opieka państwa nad życiem gospodarczym. Wiemy, że na tem właśnie tle powstawały przede wszystkim różnice partyjne w klasycznym kraju partyjnego parlamentu, w Anglii. Ale i każde inne zagadnienie życia społecznego mogło prowadzić do różnicy poglądów na sposób jego załatwienia; ta różnica poglądów wymagała uzasadnienia, argumentów, pozyskania zwolenników, — w tym celu tworzyć się musiała ideologia partyjna, w mniej lub więcej przekonujących zapowiedziach programowych zawierająca odpowiedź na pytania, dotyczące roli państwa w stosunku do społeczeństwa, a w szczególności do interesów grupy, którą dany program miał pozyskać.

Na pierwszy rzut oka można było widzieć w tem tworzeniu się partji politycznej, jako społecznego odpowiednika parlamentu, zjawisko naturalne i pożądane. Jednakże czasem następowała tu degeneracja, prowadzą-

ca — obok zwyrodnienia samej partji — także do zwyrodnienia opanowanego przez nią parlamentu. Partja pracować musiała na dwa fronty: z jednej strony — pozyskiwać zwolenników w społeczeństwie, z drugiej — reprezentować wolę społeczną w państwie. Dwie różne dziedziny pracy wymagały różnych metod, ale obie zawierały w sobie pokusy szkodliwe. Ażeby pozyskać zwolenników, zaczęto — nie licząc się z rzeczywistością — operować obietnicami i demagogją; powstawały programy maksymalne tego, co miało stanowić ideał daleki, w zakresie zaś realnych możliwości zadowalano się programem minimalnym, który miał być właściwym programem pracy w parlamencie. Ale obok tych rozbieżnych programów była jeszcze walka o rzeczy w programach nie pisane, ale najbardziej realne — o rzeczywiste wpływy partyjne i osobiste na rząd w państwie i o wynikające stąd doraźne korzyści. Praca partyjna stała się zawodem pośrednictwa pomiędzy społeczeństwem a państwem, pośrednictwa nie bezinteresownego, spekulującego na swej pośredniczącej roli; nie chodziło już o dobro klientów — społeczeństwa i państwa, — ale o powodzenie pośredników, firm pośredniczych, jakimi stawały się partje polityczne.

Rozbiór przebiegu historycznego i przeobrażeń roli partji politycznej w jej stosunku do państwa i społeczeństwa zasługuje na studjum socjologiczne o wielu tomach; dziś wystarczy nam stwierdzić, że jesteśmy świadkami procesu rozkładowego, który poszedł w dwóch kierunkach, pozornie odmiennych, w gruncie konsekwentnych. Z jednej strony — mamy do czynienia z nadmierną konkurencją partyj-pośredników; pamiętamy tę wielką liczebność partyj, stających do wyborów u nas w dawnym systemie; aby się zorjentować w organizacjach partyjnych Francji, trzeba studjować osobny podręcznik, podający programy około trzydziestu większych organizacji partyjnych, a wymieniający ogółem ponad dwieście nazw i tytułów rozmaitych skupień tego rodzaju. Duże firmy i drobne agenturki, organizacje pośredników i ich agencje pomocnicze, słowem — cały wielki *business* polityczny żyje już swoim własnym życiem i nie spełnia swej pierwotnej roli ramienia społecznego w sprzęgle społeczno-państwowem.

To zdeformowanie roli partji prowadzi również do odpowiedniego zdeformowania roli parlamentu. Parlament partyjny staje się organem sam dla siebie i nie spełnia już tej roli, jaka mu była przeznaczona. Wskutek tego powstają tendencje znalezienia kontaktu pomiędzy państwem a społeczeństwem z pominięciem parlamentu. Te drogi mogą być dwojakie: jedne z nich zachowują zasadę partji jako reprezentacji społeczeństwa, ale uznają istnienie tylko jednej partji; jest to tak zwany system monopartyjny. Klasyczny typ tego systemu znajdujemy w Niemczech hitlerowskich.

Omawiając rolę i znaczenie partji narodowo-socjalistycznej w którąś

rocznicę jej powstania, prasa partyjna tworzyła następującą formułę: wódz tworzy ideę, idei służy partja, partja tworzy państwo, państwo obejmuje naród; stąd wódz, partja, państwo i naród stanowią jedność. Partja jest zatem jedynym łącznikiem między społeczeństwem-narodem a państwem, ale partja przenika głęboko w organizację państwa; nie poprzestaje ona, tak jak to było w systemie parlamentarnym, na jakimś jednym organie łącznikowym: partja jest wszędzie — w całej strukturze państwa; wszystkie organy państwa stają się organami partji i odwrotnie: organy partji są organami państwa; parlament, pierwotny teren narodzin partji politycznej, staje się wtedy wogóle niepotrzebny, miejsce jego zajmuje zebranie organów kierowniczych partji.

Poza Niemcami ten sam system monopartyjny spotykamy także we Włoszech i w Rosji. Zarówno partja faszystowska, jak i partja komunistyczna, uważają siebie nietylko za jedyne przedstawicielstwo społeczeństwa, ale także za organ państwa. Obok i ponad zdeformowanym parlamentem we Włoszech Wielka Rada Faszystowska staje się konstytucyjnym organem, decydującym o losach państwa pod każdym względem, bez jakichkolwiek skrupowań teorią podziału władz; podobnie w Rosji: sekretarz partji komunistycznej i jej komitet wykonawczy jest właściwym organem, kierującym oficjalnie życiem państwa. Parlament w tym systemie albo znika zupełnie, albo ulega zniekształceniu.

Drugi objaw deformacji parlamentu partyjnego polega na poszukiwaniu innych, ponadparlamentarnych i pozapartyjnych łączników pomiędzy państwem a społeczeństwem. Tu przede wszystkim wspomnieć należy o t. zw. reprezentacji interesów. Już mówiłem o tem, jaką rolę w grze sił społecznych, w t. zw. społeczeństwie ekonomicznym, odgrywają interesy poszczególnych grup, jak wpływają one na powstawanie tych grup i stanowią o ich wpływie. Otóż — te grupy interesów, widząc że parlament partyjny ma przede wszystkim swoje zawodowo-polityczne cele na widoku, że jest terenem walki o władzę pomiędzy przywódcami partyj, terenem kompromisów i przetargów, w których nietylko interesy grup, ale wogóle potrzeby społeczne są przedmiotem handlu — szukają drogi do bezpośredniego ich ujawnienia i zaspokojenia przy pomocy środków, jakimi państwo może rozporządzać, innemi słowy — szukają bezpośredniego wpływu na państwo.

W społeczeństwie powstają różnego typu samorzutne skupienia, oparte przede wszystkim właśnie na wspólności interesów. Szczególne znaczenie wśród nich ma związek zawodowy, zwany na zachodzie syndykatem; ale obok syndykatów, łączących przeważnie w grupy zawodowe pracowników fizycznych i umysłowych, powstają także zrzeszenia interesów wśród przedsiębiorców i kapitalistów. Obydwa te typy zrzeszeń, wraz ze swemi rozma-

temi odłamami i odmianami, szukają wpływu na państwo — początkowo przez parlament, ale tu muszą podlegać kurtażowi partyjnemu; szukają zatem wpływu wprost, albo przechodzą okres przeciwstawiania się państwu wogóle, jak t. zw. syndykalizm rewolucyjny.

Już w końcu XIX-go w. dojrzewa projekt, związany początkowo z nazwiskiem Milleranda, żeby jedną z izb parlamentu, mianowicie senat, przekształcić na t. zw. przedstawicielstwo interesów i złożyć go z przedstawicieli związków zawodowych i organizacyj gospodarczych z pominięciem wpływów partyjno-politycznych. Projekty takie tułają się i wracają co jakiś czas w tej czy innej postaci. Konstytucje powojenne, także i nasze, przewidują tworzenie Rad Gospodarczych czy Naczelnych Izb Gospodarczych, mających odgrywać rolę samoistnego łącznika pomiędzy społeczeństwem ekonomicznym a państwem. Te wszystkie koncepcje nie dają wyraźnych efektów praktycznych; tylko ustrój faszystowski przeprowadził reformę parlamentu na podstawach korporacyjnych, i to według innego nieco planu.

Natomiast zrzeszenia społeczne występują samorzutnie i pozakonstytucyjnie. Strajki polityczne, propagowane jako najsilniejsza broń związków zawodowych i wojującego syndykalizmu, zorganizowanie wielkiej liczby syndykatów w jakąś Generalną Federację Pracy, stwarza niekonstytucyjną siłę społeczną, która, gdyby była pewna swej zwartości, mogłaby wywierać już nie realizacją, ale samą groźbą powszechnego strajku, dowolny wpływ na życie państwa. Czasami ten kierunek samorzutnej organizacji społecznej, mającej na celu wpływanie na państwo, przybiera formy groteskowe; oto powstaje we Francji „Związek Płatników Podatków“ i obejmuje liczne tysiące członków, a w zasadzie powinien obejmować wszystkich obywateli; związek ten w tonie stanowczego żądania koresponduje z naczelnymi władzami państwowymi, stawiając swoje warunki i dając swoje wskazania. Przecież drogą przewidzianą konstytucyjnie, którą obywatele płatnicy podatków mogą wpływać na państwo, jest właśnie parlament; przecież pochodzenie parlamentu — to właśnie uchwalanie podatków przez tych, którzy je mają płacić; sprawa budżetu i podatków — to jest podstawowe zadanie parlamentu; a tymczasem związek zawodowy płatników musi powstać i szukać dróg innych, pomijając parlament. Tak więc, nie mówiąc nawet o aktach rewolucyjnych znanych pod nazwą *action directe*, działania bezpośredniego — w ramach normalnego życia państwa widzimy tworzenie się nowych postaci przenikania wpływów społecznych w życie państwa.

Jeżeli spojrzeć na te objawy z zasadniczego punktu widzenia i starać się dać im klasyfikację naukową, to będziemy widzieli w nich proces konsekwentnego upaństwowiania formacyj społecznych. Tak więc, partja powstaje jako wyraz ideologii społecznej, skupia ludzi jednakowo myślących,

wnet podejmuje zadania wpływania na państwo w kierunku realizacji swojej ideologii i staje się powoli instytucją czy organem państwowym. Już w parlamencie następuje oficjalny trwały podział na grupy partyjne, już wybory są prowadzone według list partyjnych, a w systemie monopartyjnym, gdzie zasada zostaje doprowadzona do ostatniej konsekwencji, widzimy partję jako naczelny organ konstytucyjny, a jej członków w czarnych czy innego koloru koszulach na stanowiskach obok normalnie umundurowanych urzędników państwowych przy wykonywaniu codziennych funkcji zarządu państwowego. Obok policjanta, delegat partyjny pilnuje porządku, sprawdza bilety w pociągu, kontroluje postępowanie urzędników, słowem — przenika w dziedzinę administracji w sposób decydujący. W systemie parlamentarnym to samo odbywało się przez t. zw. system łupów w ustroju amerykańskim, gdzie wszyscy ważniejsi urzędnicy musieli się zmieniać ze zmianą partji rządzącej, albo w systemie protekcji partyjnej stosowanej we Francji, którego zaczątki dały się odczuć i u nas.

Partja w tem rozumieniu, jedna czy też w liczbie mnogiej, jest już nie samorządnym wytworem społecznym, ale pomocniczą instytucją administracji państwowej. O tem, w jakim stopniu jest potrzebna czy szkodliwa, nie będę mówił. Przyznać raczej należy, że z chwilą upaństwowienia traci ona swój społeczny charakter, traci zatem cel bytu. To samo upaństwowienie, czyli t. zw. integracja, dotyczy także innych zrzeszeń społecznych, o których mówiliśmy, a więc w szczególności syndykatów czy korporacyj zawodowych: uznane i włączone w system zarządu państwowego, tracą one charakter samorządnej organizacji społecznej, stają się czynnikiem administracyjnym i, jeśli kto woli tak nazwać, biurokratyzują się. Trzeba byłoby może wspomnieć tu jeszcze o jednym ogniwie, wiążącym społeczeństwo z państwem: jest niem organizacja samorządu. Instytucje samorządowe nazywano dawniej poprostu „społecznemi“ — ale jest sprawą do dziś nie rozstrzygniętą, czy samorząd należy uważać za organ społeczeństwa czy za organ państwa — i to za jeden z zasadniczych jego organów. Tu także odbywa się ten sam proces: akcja — w założeniu społeczna — upaństwowia się.

Chciałbym rozpatrzyć jeszcze jeden konkretny przykład dynamicznego niejako stosunku społeczeństwa do państwa, przykład nam najbliższy, przykład z naszej ostatniej historii i osobistych doświadczeń. Przed wojną nie było państwa polskiego; były trzy państwa, których prowincjami były ziemie polskie. Czy było jednak wówczas społeczeństwo polskie? Niewątpliwie było, niewątpliwie miało swoje potrzeby, miało świadomość swoich potrzeb i czyniło wszelkiego rodzaju wysiłki, aby tym potrzebom zadość uczynić. Proszę przyjrzeć się życiu polskiemu pod rozbiorami: inicjatywa społeczna natrafia tam na wszelkiego rodzaju przeszkody i trudności, ale

popychana niezmierną żywotnością wewnętrzną wyładowuje się w tworzeniu instytucyj, które, często pod jakimś przypadkowym pozorem, dążą do samodzielnego zaspokojenia polskich potrzeb społecznych. Te wszystkie towarzystwa kredytowe, macierze szkolne, towarzystwa sportowe, o daleko szerszym niż sport zasięgu działania, rozmaite próby tworzenia surogatów mających uzupełniać brak państwa własnego, aż do siły zbrojnej włącznie, — to wszystko było akcją społeczną.

Z chwilą kiedy powstało Państwo Polskie, z istoty rzeczy wielka część tej samorządnej akcji społecznej przeniesiona została na państwo. Ale jednocześnie nastąpił jakby zanik tej właśnie akcji w takich dziedzinach, w których państwo przejmować jej nie może i nie powinno. Społeczeństwo, zmęczone nadmiernym wysiłkiem pod zaborami, zaczęło zrzucać z siebie wszelkie ciężary na nowoutworzone państwo, a znów młode państwo, nie mające jeszcze doświadczenia i dufne w siebie, podejmowało się chętnie wszystkiego, co do niego należało i nie należało. W ten sposób powstał chaos, pogłębiony jeszcze wpływami przeobrażeń w ogólnym stosunku państwa i społeczeństwa, jakie widzieliśmy na całym świecie. Z jednej strony — wołaliśmy o opiekę państwa, o jego wtrącanie się we wszystko, o rozbudowę przedsiębiorczości państwowej, a z drugiej — narzekaliśmy na etatyzm, na jego przerost i krepowanie inicjatywy prywatnej, którą także chcieliśmy przełożyć na państwo. Wiele zapewne złożyło się na to czynników; może po prostu brak było ludzi, by wykazać jednakową sumę inicjatywy na obydwóch terenach — państwowym i społecznym, dość, że powszechny kryzys pogłębiał się u nas jeszcze wskutek tego chaosu.

Trzeba tu było dać wyraźną wskazówkę, wypowiedzieć jasno zasadę, któraby mogła, wprowadzając granicę pomiędzy zakres tego co jest państwem i tego co jest społeczeństwem, usunąć chaos. Ale, jak wiemy, nie była to sprawa łatwa; przenikanie się wzajemne państwa i społeczeństwa zacierało tę granicę nie tylko u nas, ale wszędzie na świecie. Czy więc należy dążyć do pierwotnego ograniczenia państwa i odrodzenia liberalizmu społeczeństwa ekonomicznego, t. j. do stanu, który był proklamowany jako ideał, ale który został przez życie odrzucony, — czy też należy z państwa uczynić narzędzie walki społecznej, oddać je jako organ w ręce klasy i jej polityki klasowej, wszystko jedno jakiej, — czy należy może tworzyć państwo totalne, państwo wszechogarniające, kierujące wszystkimi sprawami społecznymi jedynie i wyłącznie, — czy wreszcie tworzyć państwo syndykalistyczne, polegające na upaństwowieniu zrzeszeń korporacyjnych, czyli jednej z form, jednego z przejawów życia społeczeństwa ekonomicznego: — takie i jeszcze inne pytania stawać musiały przed nami.

Na te pytania odpowiedziała konstytucja polska następującą formułą:

„W ramach Państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa. Państwo zapewnia mu swobodny rozwój, a gdy tego dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki“. Nie jest to ani państwo totalne, które nie uznaje nic poza sobą, ani państwo liberalne, które jest tylko radcą prawnym społeczeństwa ekonomicznego; jest to *państwo społeczne*, które w swoich instytucjach i w swojej działalności dąży do zapewnienia życiu społecznemu swobodnego rozwoju, ale zarazem stoi na straży powszechnego dobra.

Ale nie dość jest wypowiedzieć zasadę: najważniejszą jest rzeczą zrealizować ją, wypełnić tę formułę żywą treścią. Można to zrobić zbiorową pracą społeczną. Pamiętać musimy, że jesteśmy społeczeństwem, że państwo daje tylko ramy i oparcie dla naszego życia — czasami może niem pokierować, ale nie może go wypełniać, — że nasza inicjatywa, nasze poczynania indywidualne i zbiorowe stanowią dopiero właściwą treść życia.

Dzisiaj jesteśmy jeszcze wciąż pod urokiem, każdy chce być urzędnikiem: chłop, rolnik na kilkunastu morgach obija progi po miastach, ażeby go wzięto na woźnego; obywatel ziemski stara się o posadę w banku, przemysłowiec chce sprzedać swoją fabrykę rządowi, a sam w niej zostać dyrektorem, albo przynajmniej dostać zamówienia rządowe. Państwo ma być jedynym konsumentem i producentem w jednej osobie. Z tego czaru trzeba się otrząsnąć. Społeczeństwo musi być znowu sobą, musi wykazać samorzutność swego działania; wtedy dopiero i państwo będzie mogło spełnić swoją rolę. Realizujemy słuszną formułę Konstytucji. Wypełniamy treścią życia społecznego ramy organizacji państwowej. Przypomnijmy sobie, jak to było kiedy nie mieliśmy jeszcze własnego państwa, kiedy od państwa nic nie otrzymywaliśmy; spróbujmy wykazać tyle inwencji, inicjatywy, umiejętności i zapału społecznego, ile mieliśmy wówczas. Ten zasób, ujawniony we własnym państwie, stworzy dzieło wielkie i godne podziwu.

JAROMIR OCHEŁDUSZKO

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE

1. ELEMENTARZ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Oba odłamy naszej opozycji — prawicowy i lewicowy, — omawiając *exposé* min. Becka o drogach polskiej polityki zagranicznej, przy całym obojętnym krytycyzmie odsłoniły przedewszystkiem swój stan nałogowego nieuctwa i braku orjentacji politycznej w stosunku do istotnych założeń polityki zagranicznej wogóle. Kazimierz Czapiński osiągnął chyba tutaj rekord swojej niekompetencji; zresztą — już oddawna kult pretensjonalnego dyletantyzmu stał się przywilejem P.P.S. Całe szczęście, że stolarka nie jest umiejętnością tak powszechną, jak... „prostowanie ścieżek“ naszej polityki zewnętrznej: iluż uniknęliśmy dzięki temu... kiepskich stołków! Wywody Czapińskiego świadczą aż nadto dobrze, iż stolarzem nie zostanie on nigdy; rzekłbym nawet, że zapach farby drukarskiej i atramentu walczyć będzie tylko o lepsze z wygórowaną ambicją autora. „Gdzie jest Polska“ — zapytuje czołowy publicysta *Robotnika*. „Trochę z Ligą, trochę nie. Trochę z Francją, ale jeszcze więcej z Hitlerem. Świat nic nie wie i Polska nic nie wie“ (*Robotnik*, 20.I.1936 r.).

To, że Czapiński wie o polityce tyleż, co Niedziałkowski o socjaliźmie, to zn. dosłownie mniej niż nic — jest już oddawna tajemnicą poliszynela i dlatego nie warto by się nad tem wcale zastanawiać. Ale przecież idzie tu o coś bez porównania donioślejszego — o problem wyszkolenia politycznego naszej opinii publicznej, bałamuconej przez pewne organy prasy, która zeruje na niewyrobieniu politycznem „szarego człowieka“. Prymitywny bowiem (ze stanowiska polityki zagranicznej) podział państw na przyjaciół i nieprzyjaciół, gdy się przegląda obszerną polemikę prasową na marginesie parlamentarnej debaty nad polityką zagraniczną, wlecze się, zda się, uparcie za nami i — co gorsza — nabiera cech ewangelji myślenia politycznego. Drogą tej fikcji poszła cała prasa opozycyjna i uderzyła zgodnie w jeden ton

zarzutów, podkreślając „zbyt ogólnie“ zarysowane ramy naszej polityki zagranicznej. To, że min. Beck zapomniał pomalować Europy i reszty świata na kolor biały i czarny i rozciągnąć druty kolczaste między nami a gronem pewnych państw Europy, stało się dla prasy opozycyjnej wszystkich odcieni symbolem czegoś niezrozumiałego i podejrzanego, jakąś czarną magią polityczną. A przecież stanowisko takie nie jest niepolityczne, jest poprostu apolityczne.

Jednak możnaby to sobie jeszcze jakoś *wytlumaczyć*, jeśli nie można *zrozumieć*. Ale gdy nawyk do ujmowania w ten sposób stosunków z ościeniami państwami otrzymuje stempel powagi dzieł naukowych — smutne budzić musi refleksje. Wystarczy stwierdzić, że prof. Władysław Konopczyński w pracy swojej *Przyczyny upadku Polski*, pisząc o polityce zagranicznej, operuje błędnymi (bo apriorycznymi) pojęciami przyjaźni i nieprzyjaźni, gdyż — zdaniem jego — celem polityki zagranicznej powinno być wyzyskiwanie życzliwości jednych państw i słabości drugich. Więcej: Stanisław Bukowiecki w *Polityce Polski Niepodległej*, a więc w książce, omawiającej aktualne wówczas zagadnienia polityki zagranicznej, stwierdza małodusznie, iż „nad właściwym stosunkiem politycznym Polski do Niemiec nie rozwodziliśmy się, ponieważ stosunek ten przedstawia się jasno i prosto, jako stały antagonizm“. Łączność wewnętrzna tych dwu cytat jest zupełnie naturalna: to typowo doktrynerski sposób ujmowania problemów polityki międzynarodowej — prosty, przejrzysty i... błędny. Prostolinijne bowiem sprowadzanie skomplikowanych i zmiennych stosunków między poszczególnymi narodami w łożysko zgóry ułożonego szablonu „przyjaciół“ i „nieprzyjaciół“ uniemożliwia rozpatrywanie zagadnień polityki międzynarodowej w jej rzeczywistych ramach, wywołując temsamem dezorientację opinii publicznej. Harold Nicolson, jeden z wybitnych dyplomatów angielskich, w trzecim i ostatnim tomie swej trylogii ¹⁾, o której znany angielski uczony Sir J. Marriot nie wahał się powiedzieć, że za lat pięćdziesiąt będzie ona uważana za podstawowe dzieło dla historii powojennej Europy — pisząc w zakończeniu swej pracy o teorii polityki zagranicznej, przedstawił z wielką siłą przekonania i całą inwencją swego pióra olbrzymią skalę niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie dla polityki zagranicznej posługiwanie się podziałem państw na wrogie i zaprzyjaźnione. Byłoby to zbyt wielkim hazardem dla zbiorowości, gdyby opierała ona swą politykę zagraniczną na podobnych założeniach. Zakrawa to na *determinizm polityczny*, gdyż pojęcia przyjaźni i nieprzyjaźni bardzo szybko zmieniają się w czasie i przestrzeni, zależnie od uzgadnianego czy rozpatrywanego przedmiotu. W polityce zagranicznej nie-

¹⁾ Curzon: *The Last Phoe* 1919 — 1925. A study in Post-War Diplomacy. London, Constable, 1928 — 1934.

ma jakichś stałych i niezmiennych „praw spiżowych“, którym podlegałyby warunki współżycia narodów; zatem nie nastroje mas, lecz interesy i dążenia państw warunkują ich politykę zagraniczną, będącą wyrazem sformułowań racji stanu danego narodu, t. j. dążeń, wykreślonych w danym miejscu i czasie przez pragnienie bezpieczeństwa, ekspansji, uznania i wymiany wartości.

Wyżej zwróciliśmy już uwagę na niebezpieczeństwo związania polityki zagranicznej z nastrojami szerokich mas; teraz pragniemy to bliżej sprecyzować. Niebezpieczeństwo jest znaczne, jak wiadomo z doświadczenia, albowiem pobudliwość tłumu i nieobliczalność, znana z jego psychologii — irrealizm, brak precyzji — zawiera w sobie te wszystkie składniki, które uniemożliwiają właśnie stawianie aktualnych problemów politycznych w płaszczyźnie zdrowego rozsądku. „Temperament ludowy“ (mówił ks. de Broglie), — pisze J. Barthelemy²⁾, — posiada wszelkie zalety prócz cierpliwości i dyplomacja na placu publicznym ma wszelkie przymioty prócz dyskrecji i roztropności. Demokracja, gdziekolwiek rządziła, przybierała te same rysy: rozdrażniała się łatwo, była wymagająca i bardzo wrażliwa na wszystko, co dotyczy honoru narodowego“. I dalej twierdzi tenże autor, że „badając dzieje, trudno oprzeć się przekonaniu, iż było tyleż wojen ludowych, co i królewskich. Opinia angielska popychała rząd niejednokrotnie na drogę wojny z Francją, lub też przydłużania już istniejącej. W czasie wypadków w Faszodzie rząd angielski opierał się naciskowi ludu, by uniknąć wojny z Francją, która groźna byłaby dla obu krajów i przyszłości świata“. „Za czasów Rewolucji ze Zgromadzenia Prawodawczego wyszły zarządzenia, których następstwem była wojna z Austrią, podczas gdy król usiłował sparaliżować je swoim „veto“. Konwent wojną dopomógł do wielkości Francji i zasłużył sobie w ten sposób na słynną pochwałę Bayera; ciało prawodawcze drugiego cesarstwa z zapalem uchwaliło wojnę przeciw Prusom; prezydent Mac Kinley byłby może uniknął wojny z Hiszpanją, lecz kongres go do tego zniewolił“²⁾.

Podobne uwagi czynią i inni obserwatorzy nowoczesnych ruchów politycznych. „Turcja utraciła Tripolis dlatego, że nacjonalistyczny zapal wojenny Włoch podział na postanowienia ministrów. Zaciętrzewienie opinii publicznej bułgarskiej, serbskiej, greckiej i czarnogórskiej, nie zaś duch zaczepty rządów bałkańskich, pociągnęło za sobą w jesieni 1912 r. mobilizację tych ludów przeciw Turcji“³⁾. „Nietrudno byłoby dowieść, — ostrzega Ponsondy, — że gdyby jakiś oddzielny wypadek lub jakieś wyrażenie się obcego ministra doszło do wiadomości publicznej w czasie rokowań, poprze-

²⁾ *Démocratie et politique étrangère.*

³⁾ *M. Fullerton: Les grands problèmes de la politique mondiale.*

dzających wojny, lub w czasie napiętych stosunków pomiędzy danym krajem a obcym mocarstwem — lud, daleki od wywierania mitygującego wpływu, byłby niewątpliwie przyśpieszył zerwanie stosunków“.

Rzecz prosta, że wobec tego szerokie masy, rozkołysane demagogią gorącego słowa i skłonne do uprawiania „metody szpilek“ w zakresie zagadnień polityki zewnętrznej, nie wyjaśniają istoty problemu, lecz go zaciemniają. Charakterystycznym znamieniem hałaśliwej „polityki szpilek“ jest zaniedbywanie zagadnień głównych i ważnych; wiadomo, że pod tym względem świadomość polityczna naszej opinii publicznej domaga się dobrych pługów i zdrowego ziarna. To też wychowanie polityczne narodu powinno iść w kierunku uświadomienia go o odpowiedzialności, jaka spada na niego w wyniku suwerenności. Tymczasem, — twierdzą to zupełnie stanowczo, — brak odpowiedzialności u całej prawie prasy opozycyjnej za rodzaj i jakość komentowanych faktów, komiwojażerstwo polityczne jest właśnie, mimo odrodzenia się niepodległej Rzeczypospolitej, nierzeczowem i nie-realnem pojmowaniem zjawisk życia politycznego narodu.

Pragnienie regulowania polityki międzynarodowej i stosunku do innych państw wedle osobistych sympatyj i animozji, wedle partyjnych porachunków czy też doktryn ustrojowych — nie jest i nie może być częścią składową polskiej racji stanu. W świetle krytyki, jaką nadciągająca potem historia wykonywa i wykonywać będzie, nakazy polityki zagranicznej były, są i pozostaną kategorią nadrzędną w porównaniu z wszystkimi innymi sprawami, potrzebami, obowiązkami czy interesami. W tem streszcza się ta *suprema lex*, od której zależny jest *salus Reipublicae*; stąd twierdzenie, że „polityka zewnętrzna winna być na usługach polityki wewnętrznej“, należy do bardzo szkodliwych i naiwnych chwytów myślowych. Nie znaczy to, by pewne wewnętrzne przesłanki nie wykreślały kierunku zdań służby zagranicznej; polityka ta jednak nigdy nie będzie w stanie zadośćuczynić kierowniczym dyrektywom państwa. Zagadnienie bezpieczeństwa, potrzeba rozwoju, lub też inne kategorie zagadnień i idei polityki zagranicznej dałyby się tylko w sposób wysoce niedostateczny wyłuskać z biegu spraw wewnętrznych. Polityka socjalna, wyznaniowa, a przede wszystkim partyjna, niewiele mogłaby powiedzieć o rzeczach polityki zagranicznej, która ma swoje własne, głębokie prawa, działające z regularnością ukrytego mechanizmu.

Zdarzenia na arenie polityki międzynarodowej można przeto rozłożyć na kategorie przyczyn i skutków, których działania sprowadzają się do pojęcia podstawowej konieczności państwowej. Inne traktowanie spraw polityki zagranicznej — jako gry lub też jako meczu futbolowego, kiedy to robi się zakłady, a nie poszukuje się argumentów, ważąc ich ciężar i znaczenie — wywołuje błędne nastawienie ogółu wobec zadań i celów polityki za-

granicznej. Można kazać ludziom chodzić po prawej stronie chodnika; jednak dyktowanie narodowi jego dróg rozwojowych przez to ciągle i nieustanne „powinno“ i „musi“ może być tylko uroczą naiwnością u ludzi bardzo młodych. Fundamentalne założenia polityki narodów powinny być rozwiązywane przez sam naród; w przeciwnym razie brak nam uprawnień do czynności, która zasadniczo nie powinna być spełniana przez pojedyncze osoby. Na publicystykę spada tylko i jedynie obowiązek dostarczania, tak jak sumienie nakazuje, danych i faktów, mogących przyczynić się do wytworzenia przez cały naród owej syntezy politycznej.

2. NIEMCY I PRUSY

Do danych, których potrzebuje opinia polska, by zorjentować się w gęstej tkaninie stosunków polsko-niemieckich, należy przedewszystkiem znajomość zagadnienia pruskiego i stosunku Prus do Niemiec i Polski. Mimo tego jednak i jakby wbrew temu, na terenie naszych dziejów polityki zewnętrznej — i to w pierwszym rzędzie w płaszczyźnie stosunków polsko-niemiecko-pruskich, nietylko nie zostało ostatnie słowo powiedziane, lecz jeszcze sam bieg wypadków nie został ściśle ustalony, ocena wagi poszczególnych faktów nie została dokładnie odmierzona; *brak dotąd syntetycznego ujęcia historii stosunków polsko-niemieckich*. Czas więc najwyższy wyraźnie sobie uświadomić, iż luka ta odbija się ujemnie na naszym myślowym przygotowaniu do obecnej oceny tych problemów i terenów. Dotąd na tem polu umysłami polskimi, a temsamem — politycznem myśleniem ogółu, rządzi nie wiedza historyczna, lecz odczuwanie, sentyment, narzucony przez *Trylogję* i *Krzyżaków* obecnemu pokoleniu w okresie rozbiorowym.

Dalecy jesteśmy od ułatwiania sobie zadań, od wszelkiego rodzaju konformizmu politycznego; idzie nam o możliwie obiektywne naszkicowanie pewnych fundamentalnych problemów niemieckich, aby tem łatwiej uchwycić potem nić ich zasadniczej łączności z Polską. W związku z tem zwróciliśmy już uwagę na znaczenie i doniosłość problemu pruskiego na kanwie stosunków polsko-niemieckich: można mianowicie stwierdzić wpływ Prus nietylko pod względem ideologii, ale również pod kątem widzenia pewnych pierwiastków psychologicznych, na ukształtowanie się systemu rządzenia oraz sztuki politycznej w Rzeszy Niemieckiej. Już samo bodaj pobieżne przerzucenie kart historii powstania państwa prusko-niemieckiego pozwoli nam to skonstatować prawie bez trudności.

Dążność Prus do zajęcia w Niemczech dominującego stanowiska, wyrażającego równocześnie formalną i faktyczną supremację nad narodem niemieckim, ze wszystkimi konsekwencjami dla wewnętrznej i zewnętrznej siły i prestiżu Królestwa Pruskiego, datuje się niemal od zarania powstania

pruskiej państwowości. Tylko że na drodze tej stanęły Prusy nie z zamiarem urzeczywistnienia szczytnych haseł jedności narodu niemieckiego — przeciwnie: w imię zadośćuczynienia własnym tendencjom do imperjalistycznego rozrostu. Wskutek tego polityka, oparta na takich przesłankach, wywołać musiała ostre protesty krajów niemieckich — protesty, sprowadzone później w łożysko trwającego do dziś konfliktu między Prusami a pozostałą resztą krajów niemieckich. Prusy tkwią jak „grot w ciele Habsburgów“. Świadomość tego stwarzała tedy często próg, przed którym musiały się niejednokrotnie zatrzymywać zapędy imperjalistyczne Królestwa Pruskiego: już w pierwszych latach swego panowania Fryderyk Wilhelm I zmuszony jest razporaz łamać wolę sprzeciwiających mu się parlamentów poszczególnych krajów pruskich. Zresztą — pruska myśl o jednej ojczyźnie miała wyraźne podłoże utilitarne: szybko postępująca industrializacja Niemiec Zachodnich nęci oczy konkwistadorów pruskich, o skłonnościach zdecydowanie kupieckich; rozwijająca się w tym kierunku propaganda zmuszona jest balansować na cienkiej jak ostrze brzytwy linii między pruską racją stanu a pruskim instynktem, albowiem Hohenzollernowie wszelkimi siłami oponują przeciw związaniu losów swej dynastji z ideą politycznego zjednoczenia krajów niemieckich.

Wszelkie przejawy propagandy, nacechowanej ideą zjednoczenia, są bezwzględnie tępione. Jednego z największych patryjotów niemieckich, Fryderyka Jahna, w lipcu 1819 r. osadzono w twierdzy za szerzenie „wielce niebezpiecznej nauki zjednoczenia Niemiec“. Ten sam los spotyka Hoffmanna von Falersleben, autora słynnej pieśni *Deutschland, Deutschland über Alles*. Obcy duchowi niemieckiemu centralizm pruski i ta dwoistość zachowania się społeczeństwa i rządu pruskiego wobec niemieckiej idei narodowej drażniła rozwijające się ambicje krajów niemieckich i zamiast łagodzić stosunki między społecznościami, wywoływała opór. Bo w praktyce politycznej ekspansja Prus w Rzeszy Niemieckiej nie miała nic wspólnego z ruchem wolnościowym narodu niemieckiego w epoce napoleońskiej ani za czasów rewolucji 1848 r. i nie ma nic wspólnego z uczuciami wolnościowymi narodu niemieckiego wogóle — z uczuciami nie tylko do szerokich mas własnego narodu, lecz również do ujarzmienia narodu polskiego. Dlatego junkrom pruskim wydaje się absurdem, ażeby Prusy miały zniknąć w zalewie niemieckości. Jasne jest, iż konstytucja uchwalona w Frankfurcie, odbierając Prusom cały szereg atrybutów na korzyść zjednoczenia Niemiec, wywołać musiała tak olbrzymią burzę w społeczeństwie pruskim. „Tylko poeci i nauczyciele, pozbawieni zmysłu rzeczywistości, mogą mieć na myśli wspólne pochodzenie, gdy mówią o narodzie niemieckim. Nie istniało ono nawet w najbardziej zamierzchłych czasach. Naród niemiecki jest mieszaniną

wszystkich zachodnich narodów indogermańskich i semitów. Nie może być mowy o narodzie niemieckim, jako o masie ludności tego samego pochodzenia, a tembardziej o naturalnem, tkwiącem we wspólnej krwi poczuciu przynależności do tego samego narodu“⁴⁾.

Gdy von Bülow w dłuższem przemówieniu na posiedzeniu Izby Panów zaakcentował siłę dynamiczną niemieckiej idei narodowej, Bismarck w odpowiedzi drwiąco stwierdza: „Pana również ukąsił pies niemiecki“ I jakkolwiek będziemy je kwalifikować — te wypadki, które nie są bez precedensów, są jednak i pozostaną symptomem pruskiej pychy ludzi, których osobowość zaciążyła na historii narodu niemieckiego. Da się to powiedzieć w pierwszym rządzie o Fryderyku Wilhelmie IV: ostentacyjne odrzucenie korony cesarskiej, ofiarowanej mu uchwałą parlamentu w Frankfurcie 1849 r., wypływa właśnie z tego ciasnego partykularyzmu myślenia pruskiego. Król pruski w liście do E. M. Arndta stwierdza: „Sprawa poruszana przez nas, to nie korona — to żelazny naszyjnik niewoli, który potomka dwudziestu czterech elektorów i królów czyni własnością rewolucji“.

Konflikt między urodzoną we frankfurckim kościele św. Pawła demokracją niemiecką a pruską racją stanu staje się nieomal już faktem dokonanym, przewijającym się później coraz wyraźniej, jak nić czerwona, poprzez dzieje narodu niemieckiego. Z tego powodu niektórzy niemieccy pisarze usiłują bronić Prus i poszukiwać uzasadnień dla ich niechęci i represyj rządów wobec niemieckiej idei narodowej. Delbrück, tłumacząc stanowisko Prus w wybornej zresztą książce⁵⁾, wskazuje na rozsadzający ładunek niemieckiej idei narodowej, która — w danym okresie dziejowym — przekraczała państwową formację Prus, rozszerzając jej zbyt ciasne, niepodatne ramy: „Dopóki dla Prus nie nadszedł czas, — pisze, — by same stworzyły państwo niemieckie — musiały one go zwalczać i nie mogły prawdziwych patriotów uważać za swych przyjaciół, gdyż wciągali oni Prusy w niebezpieczeństwo walki, do której rozegrania nie czuły się one wówczas jeszcze zdolne“. Temi samymi drogami idzie bieg wywodów najlepszego kodyfikatora stylistycznego ideologii pruskiej, Treitschkego.

Skala rozległości tych konstrukcyj jest ogromna; dlatego polemizować tutaj w ramach szczupłego artykułu z temi lub podobnemi wywodami byłoby rzeczą płonną, pozbawioną istotnego sensu i treści. Jedno tylko trzeba zauważyć: iż oglądany zbliska proces historyczny ostatnich ośmdziesięciu lat w Niemczech — okresu, w którym Prusy spełniły swoją „misję dziejową“, potwierdza w całej rozciągłości słuszność zarzutów co do negatywnego stosunku Prus do Rzeszy Niemieckiej. Niezauważenie tego jest następstwem

⁴⁾ „Kreutzzeitung“, Nr. 75, r. 1849.

⁵⁾ Regierung und Volkswille.

niesłusznego zidentyfikowania Prusaków z Niemcami. Wprawdzie silne związanie losów Niemiec z polityką pruską (tak silne, iż polityka ta raz już wpłynęła na kierunek ich dróg rozwojowych, opóźniając temsamem rozwój Rzeszy Niemieckiej) czyni złudne wrażenie niemożliwości istnienia uzasadnionej podstawy dla przeprowadzonych wyżej rozróżnień. Istnieją poza tem pewne obiektywne przyczyny, uzasadniające stanowisko Prus — nie te, o których wspomina Delbrück. Reakcja legitymistyczna, która rozlała się szeroką falą, zwłaszcza w zachodniej i południowej Europie, po restauracji rządów obalonych przez Napoleona — usiłując wyrwać z księgi dziejów kartę, zapisywaną przez ideę narodową, uzasadniała swoją broniącą działalność właśnie teorią o niezniszczalnym własnem prawie władców do rządów. Działo się to również i w Niemczech. W ten sposób ów niezmordowanie zapobiegliwy system włączał tam wszelką pracę unaradawiania w podziemia, w których jednak niemiecka idea narodowa żłobiła sobie kanały, rozprowadzające gnębione myśli daleko i szeroko po społeczeństwie, wbrew antyzjednoczeniowym tendencjom panującej dynastji. W tych warunkach odczuwa się tylko brak człowieka, któryby biegiem wypadków mógł odpowiednio pokierować, któryby zatem masę narodu niemieckiego uplastycznił, wywołał od wewnątrz osadzenie się skupionego kształtu. Zadanie w dodatku jest ułatwione, ponieważ same warunki gospodarcze nadają idei walki o zjednoczenie ziemi niemieckiej bardziej realny charakter. „Zjednoczenie ziem niemieckich — pisze Wacław Schmidt⁶⁾ — oznacza dla narastającego kapitału zjednoczenie pod silną władzą państwową, pod jednolitym kierunkiem gospodarczym i politycznym sił materialnych, rozproszonych po całej ziemi niemieckiej“. Jeśli więc Fryderyk II był w praktyce politycznej najdoskonalszem wcieleniem zewnętrznych zaborów państwa pruskiego, to wielki kontynuator jego dzieła, Otto von Bismarck, stał się realizatorem podboju w łonie narodu niemieckiego. „Prusy muszą osiągnąć w Niemczech moralne zdobycze“, — powiada Bismarck w rozmowie z Wilhelmem jesienią 1857 r.

Ale popełniłby błąd ten, kto by widział w Bismarcku człowieka, z żelaznym uporem idącego od najwcześniejszej młodości ku wyśnionym ideałom „świętej jedności narodu niemieckiego“. Podjął się takiej rewizji — w popularnym sensie — i, przyznać trzeba, uczynił to świetnie Emil Ludwig w książce o Bismarcku. Wiele legend i poezyj zostało tutaj zredukowanych do kształtów dość marnej rzeczywistości. Cynicznemu studentowi, jakim był początkowo Otto von Bismarck, szukającemu ideałów w trunkach i burdach burszów niemieckich, wszelka myśl o wielkiej misji dziejowej była daleka

⁶⁾ Prusy i Niemcy między Wschodem i Zachodem.

i obca. Osiadłszy później na własnej roli, pędzi żywot dość słabo gospodarczo uzdolnionego junkra pruskiego. I dopiero zmuszony przed burzą 1848 r. do obrony własnych interesów klasowych, występuje po raz pierwszy na szerszą arenę życia publicznego i polityki, okazując w całej skali oblicze ekskluzywnego polityka pruskiego. Wciągnięty w wir polityki, staje się motorem politycznych działań Wilhelma; siłą własnej woli i charakteru zmusza wahającego się króla do podjęcia wojny o Schleswig. „Wszyscy władcy Prus, — argumentuje wobec Wilhelma, — uzyskali dla swego państwa korzyści terytorjalne“. „Stąd też zachęciłem go, — pisze dalej ⁷⁾, — aby uczynił to samo“.

I znowu popełnia się błąd, jeśli w rozpędzonym kole imperjalizmu pruskiego widzi się akt spełnienia wielkiej misji dziejowej Prus, złożonej na ołtarzu interesów ogólnoniemieckich. Wojna z Austrią nie stanowiła bynajmniej dalszego etapu na linii realizacji zjednoczenia narodu niemieckiego: poprostu osobista nienawiść i antypatja do austriackiego przewodniczącego Sejmu Związkowego, hr. Thuna, zadecydowała o stanowisku Bismarcka wobec Austrii. Jeżeli kiedykolwiek przyświecała mu wizja zjednoczonych Niemiec, to w każdym razie nie nastąpiło to przed zwycięstwem pod Sadową. Można wprawdzie podziwiać opór i siłę woli Bismarcka, z jaką przeciwstawił się wówczas tendencjom pruskiego sztabu generalnego, zmierzającym do zupełnego zdruzgotania Austrii w konsekwencji zwycięstwa pod Sadową. Perspektywa wojny z Francją już wtedy kazała być przygotowanym nie tylko wojskowo, ale i dyplomatycznie — i to znowu nie w imię scementowania płynnej masy narodu niemieckiego, lecz w celu ugruntowania hegemonii Prus w Niemczech i Europie Środkowej. Przejścia przed proklamacją cesarstwa w wersalskiej „Salle Glacée“ tłumaczą nam to w sposób wyjątkowo jaskrawy. Wilhelm nic chce w żaden sposób słyszeć o pozbyciu się tytułu króla pruskiego; „Zależy mi tylko na Prusiech“, oświadcza w rozmowie z synem. I gdy 18 stycznia z Mont Valerien i wzgórz Saint-Cloud głuchy huk dział oznajmił światu proklamację cesarstwa niemieckiego, Wilhelm w liście do żony, pisanym tego samego dnia, daje wyraz rozpacz i przygnębieniu wskutek bólu, jaki mu sprawia — jak pisze — „widok korony pruskiej, zepchniętej z dotychczasowych wyżyn“.

Tak więc, Wilhelm — ów mityczny symbol zjednoczenia Niemiec, okadzany nieustannie kadzidłami pochwał i podziwu, nie miał nigdy innych uczuć, prócz uczuć rdzennego Prusaka — ambicji osadzenia Prus w żelaznym fotelu panowania nad narodem niemieckim. Optycznie fakt ten uchwycił świetnie znany malarz niemiecki, Antoni Werner, w obrazie przedstawia-

⁷⁾ Gedanken und Erinnerungen.

jącym proklamację cesarstwa niemieckiego na zamku wersalskim. Na pierwszym planie widzimy tu Prusaka von Bismarcka; wszystkie inne osoby zadowolili się muszą rolą drugorzędną. W rzeczywistości tkwi w tem duża doza racji. Musimy tu odnotować pewne zastrzeżenia i postawić nad wyolbrzymionemi do takich rozmiarów zasługami „żelaznego kanclerza“ znak zapytania: choć przyznać trzeba, że indywidualność Bismarcka wycisnęła swoje (coprawda, z punktu widzenia pruskiego, nieuniknione) piętno na dalszych losach narodu niemieckiego — to jednak właściwa niemieckim pisarzom tendencja do przedstawiania go jako wielkiego męża stanu, który przygotował jedność Niemiec, zawiera w sobie gruby błąd historyczny. Jedność Niemiec była faktem dokonany jeszcze w r. 1848; tkwiła ona i tkwi nadal w naturze rzeczy. Monarchja pruska opóźniła jedynie to, co było nieuniknione dla nadania mu kształtu pruskiego.

Od tego czasu olbrzym pruski i jego przyniatająca wola poczyną decydować o drogach rozwojowych narodu niemieckiego. Nie znaczy to, aby kraje niemieckie przyjęły Prusy entuzjastycznie, z otwartemi ramionami. Nic podobnego. Antagonizm bowiem północy i południa wtedy już, a tembardziej dziś uchodzi za psychologicznie i historycznie udowodniony fakt. Chlodwig Hohenlohe, następca Capriviego, notuje w swoim dzienniczku podczas polowania w r. 1898⁸⁾: „Dopiero gdy siedzę między pruskiemi ekscelencjami, rozumiem dobitnie różnicę między Niemcami Północnemi i Południowemi. Liberalizm południowo-niemiecki nie da sobie rady w walce z junkrami“. I słusznie. Bo tam — sztywny, pozbawiony fantazji i włóczony w ramy pruskiego drylu świat protestantyzmu, tu zaś — rzymski katolicyzm. Niemiec austriacki różnił się i różni się także dzisiaj od Niemców z północy czy wschodu. Dzięki katolicyzmowi, dzięki długiej tradycji państwowej, dzięki wreszcie wielonarodowemu parlamentowi, wyrobiła się w Austrii wyższa kultura polityczna niż w Rzeszy, opanowanej przez protestanckie Prusy. W Rzeszy, ściślej mówiąc: w Prusiech, polityka — jak się ktoś wyraził — była zawsze *eine religiöse Angelegenheit*. Protestantyzm, w połączeniu ze specyficznie pruską szkołą wychowania państwowego, zakorzenił w Niemcach z północy i wschodu przekonanie, że polityka jest dziedziną, zarezerwowaną dla jakiegoś bardzo wysokiego, zamkniętego, nieomal półbożskiego koła; Niemiec wychowany w takiej szkole wiedział, że góra myśli za niego politycznie i wobec tego czekał posłusznie na to, co *von oben* podyktuje. Stąd — tam karny system centralistyczny, niezrozumienie, lekceważenie, a nawet pogarda w stosunku do innych narodów, a w szczególności do

⁸⁾ D e n k w ü r d i g k e i t e n des Fürsten Chlodwig von Hohenlohe-Schillingsfürst.

tych, które nie należą do rasy germańskiej; tutaj — federalizm krajów historycznych, dążący do pełnego rozkwitu swoistości poszczególnych krajów, właśnie pod egidą Rzeszy. To też walka między temi dwoma systemami wypełniła cały okres od czasu powstania Republiki Wejmarskiej aż po chwilę uformowania się Trzeciej Rzeszy. *Preussen muss sterben damit Deutschland leben kann* — oto hasło polityków tej miary, co Preus, Delbrück, von Balthus, prof. Förster i inni. Olbrzymia powódź projektów zmierza przede wszystkim do jednego — do okrojenia pruskiej przewagi w Rzeszy Niemieckiej. Dziś, dodać należy nawiasem, kwestja ta przez nowy podział administracyjny Rzeszy Niemieckiej rozwiązana została w innej płaszczyźnie. Można jednak twierdzić, iż istnieją pewne symptomy dojrzewania w Niemczech naturalnego procesu historycznego: likwidacji supremacji pruskiej i, co za tem idzie, powrotu supremacji w Rzeszy Niemieckiej znowu do Południa. Ciekawem oświeceniem tych może jeszcze niedostrzegalnych zmian w psychice niemieckiej jest ustosunkowanie się Prus i Niemiec Południowych do problemu przyłączenia się Austrii do Niemiec. Prusy są po wojnie (tak jak i przed wojną) zdeklarowanym przeciwnikiem myśli o Anschlussie. Kanclerz von Bülow uważa ideę tę za wysoce szkodliwą dla interesów Berlina. Jeżeli więc Adolf Hitler przeweksłował swoją politykę w tym kierunku, to może nietyle z sympatji względem Austrii, ile w wyniku tendencyj antypruskich.

Słowo „Anschluss“ dla Południowych Niemiec zawiera w sobie główną myśl ich ideału politycznego, zmierzającego do przeniesienia punktu ciężkości państwa niemieckiego z Północy na Południe. Nie wypowiadam tego oczywiście z apodyktyczną pewnością; nie twierdzę, że przesunięcie go na uprzemysłowiony i gęsto zaludniony Zachód, nad Ren, jest rzeczą niemożliwą; atoli wytyczne polityki Trzeciej Rzeszy każą liczyć się stanowczo z możliwością takiej konfiguracji. Postawienie na liście kandydatów w wyborach 29 marca b. r. przedstawicieli Austrii i krajów sudeckich, wiedeńskiego „Gauleitera“ Alfreda Frauenfelda, kierownika N. S. D. A. P. z Dolnej Austrii, Alfreda Prokscha, i dowódcy Legjonu Austrjackiego, Franza Hofera, daje w tej kwestji dużo do myślenia. Kanał Ren — Men — Dunaj, będący obecnie w budowie, uczyni kraje naddunajskie jeszcze bardziej żywotnymi dla Niemiec.

Fakt, że walka z Austrią w r. 1866 zadecydowana została na korzyść pruskiej koncepcji, stał się największym nieszczęściem Niemiec, nieszczęściem, które — jak pisze J. Ernst Moritz Arndt — „zawdzięczamy śmiałości i wielkoduszności Wielkiego Fryderyka“. Zemścił się on nietylko pod względem kulturalnym, lecz stał się także najważniejszym obciążeniem państwa niemieckiego. Niemcy, gdy zostały oficjalnie złączone, zamiast czynić wrażenie narodu współczesnego, ukazały się światu pod rysami owego archa-

icznego Bismarcka z jego dzikimi wąsami, butami jeźdźca, z pikelhaubą i szablą w garści. To też trudno się dziwić, iż spreparowane w bismarckowskiej garkuchni cele i metody polityki pruskiej wobec Polski takie a nie inne okazały oblicze. I tu trzeba otworzyć ważny nawias: chodzi mianowicie o stosunek panującej dziś w Rzeszy Niemieckiej ideologii hitleryzmu do pruskiej koncepcji politycznej, do prusjanizmu wogóle. Albowiem tutaj a nie gdzieindziej leży klucz takiego czy innego stosunku Trzeciej Rzeszy do Polski i reszty Europy. W okresie, gdy ruch hitlerowski zaczął zdobywać wschód i północ Rzeszy, tracąc swoje wpływy na południu, w swojej właściwej kolebce — zdawało się, że zatraci on swoje południowo-niemieckie oblicze; zdawało się, że wchłaniając w siebie Prusy, sam sprusaczeje wewnętrznie i stanie się awangardą pruskich czarno-biało-czerwonych chorągwi. W chwili, gdy w r. 1932 po wyborach lipcowych 230 posłów hitlerowskich zasiadło w parlamencie Rzeszy, hitleryzm istotnie nabierał cech wyraźnie pruskich, wschodnich. W całej erze Papen — Schleicher (która zresztą zatamowała przejściowo zwycięski rozpęd hitleryzmu) ten ostatni, broniąc swych zdobytych pozycji na Północy i Wschodzie, był bardziej pruski od Prusaków.

Dopiero rezultat wyborów z 5 marca zaczął przywracać hitleryzmowi jego dawną fizjognomję. Hitlerowcy odnieśli wspaniałą sukces wyborczy w południowych krajach Rzeszy — stosunkowo większy nawet, niż w samych Prusach. Dopiero teraz można było powrócić na stare pozycje: Hitlera, Göringa, Fricka — wszystko południowców niemieckich. Powrót ten o tyle był ułatwiony, iż Prusy jako odrębny organ państwowy Rzeszy przestały faktycznie istnieć, stając się krajem, czy też prowincją Rzeszy. W epoce rządów Papen — Schleicher, a więc w epoce rządów popieranych przez sfery junkiersko-pruskie, dokonany został, jak na ironję, szybki i bezkrwawy zamach przekreślający istnienie państwowej samodzielności pruskiej. Czynniki pruskie, uderzając w socjalistyczne Prusy, zadały śmiertelny cios państwowej idei pruskiej, na rzecz idei większej — jaknajściślej zunifikowanej Rzeszy. Odtąd finalizacja procesu „stawania się Niemiec narodem“ szybko postępuje naprzód. Nowy podział administracyjny na okręgi, nie odpowiadające historycznym krajom, łamie faktycznie i formalnie wpływy Prus w Rzeszy Niemieckiej, przygotowując miejsce dla nowego ustroju. Czynniki konserwatywno-pruskie z Hugenbergiem na czele odsunięte zostały od wpływu na kształtowanie się losu Niemiec. O czynnikach tych mówi się, że podając rękę do zgody Hitlerowi, w nadziei, iż zdołają opanować ruch hitlerowski — przeliczyły się kompletnie i dzisiaj są już tylko „więźniami własnej gry“. Stwierdzając to, nie prorokujemy wcale, że proces przełamывania hegemonji Prus w Rzeszy Niemieckiej stał się faktem dokonany i że odrodzić się już nie może, — że możliwość powrotu na dawne, bismarckowskie pozycje zło-

żona została do lamusa historycznego; ale dziś trzeba się już liczyć z anty-pruskiemi tendencjami, nurtującemi boheme polityczną Trzeciej Rzeszy. Jest to zagadnienie pierwszorzędnej wagi i doniosłości. Musimy przedewszystkiem stwierdzić, że choć mowa tylko o Niemczech i Prusiech, chodzi jednak o sprawę wyrastającą daleko poza zasadnicze ramy ustroju Niemiec, ponieważ od drogi, po której rozwijać się w przyszłości będzie ustrój wewnętrzny Rzeszy Niemieckiej, zależy nietylko los jej ludności, lecz także polityka europejska, w danym zaś wypadku — polityka Rzeczypospolitej Polskiej.

(Dokończenie nastąpi)

ANTONI PLUTYŃSKI

A K T Y W I Z A C J A Ż Y C I A G O S P O D A R C Z E G O P O L S K I

O kierunek polityki gospodarczej państwa toczy się zawsze i wszędzie zażarta walka. Interesy zawodowe wielkiego czy małego rolnika, przemysłowca czy robotnika, rzemieślnika, kupca czy inteligenta są zawsze i wszędzie rozmaite, często sprzeczne. Nikomu nie można mieć za złe, że zrzesza się i walczy o zwycięstwo specjalnych interesów swojej grupy. W każdym zdrowym narodzie są jednak ludzie o wybitnym zmyśle państwowym, którzy umieją podkreślać to, co jest wspólnem dobrem wszystkich, budzić entuzjazm dla zdrowia, rozwoju i potęgi narodu jako całości, w której łonie wszystkie grupy żyć muszą, którzy z odmiennie dźwięczących i zagłuszających się wzajem instrumentów wydobywać umieją zbiorowy akord zgody. Czasem jednak w naturalną walkę interesów grupowych na wspólny ton nastrojonego społeczeństwa „jak zgrzyt żelaza po szkło” miesza się głos „obcych agentur” i biada harmonji społecznej, o ile ten zgrzyt uciszony nie zostanie.

W walce poglądów i idei, która każdy wielki czyn poprzedzić musi, ścierają się zawsze dwa prądy zasadnicze: prąd bierności i prąd aktywności. Z reguły obcym czynnikom miłą jest bierność a nie miłą aktywność gospodarcza narodu, zwłaszcza jeżeli to jest naród młody, rozrastający się i dobijający — z konieczności kosztem szczęśliwych dotychczasowych posiadaczy — głosu i miejsca na świecie. W wieszczem natchnieniu ostrzegał Marszałek Piłsudski w mowie kaliskiej naród przed obcemi agenturami i ich wpływem. Wiemy wszyscy, jak potężne są podstawy wpływu obcych czynników na sprawy Rzeczypospolitej Polskiej. Czterdzieści sześć procent kapitału spółek akcyjnych, w niektórych działach aż osmdziesiąt kilka procent jest w rękach obcych obywateli. Obywatele polscy zatrudnieni przez te spółki muszą, nawet wbrew głosowi sumienia polskiego, bronić stanu po-

siadania swych chlebobawców, bronić w opinii publicznej polityki gospodarczej, któraby utrzymała obcy stan posiadania, a nie dopuściła do rozwoju przedsiębiorstw państwowych czy prywatnych naprawdę polskich. Przez ciągłe powtarzanie w oddanej sobie prasie o konieczności sprowadzania do Polski obcych kapitałów, polska myśl gospodarcza została do tego stopnia zahipnotyzowana, że uprawiającego haniebną lichwę, wyzysk pracy polskiej i nadużycia skarbowe uznawaliśmy nieomal za dobroczyńcę, że „zabiegaliśmy“ o pożyczki zagraniczne w obcym towarze na inwestycje zbytlowe, lub zgoła bezsensowne.

Zdobywszy niepodległość polityczną, pozostaliśmy w dalszym ciągu niewolnikami zagranicznej myśli gospodarczej. Obok wrośniętych w organizm polski cudzych organizmów przemysłowych i finansowych, działali u nas otoczeni opinią nieomylności zagraniczni doradcy. Ludzie z tej samej grupy tępych bankierów Federal Reserve Bank, którzy sprowadzili na Stany Zjednoczone, po operacjach wojennych z zyskiem 26 miliardów dolarów, niesłychaną katastrofę nadmiaru złota, przenieśli żywcem ze swego kraju do Polski kult złotego cielca. Nie człowiek i jego praca, ale złoto miało się stać odtąd osią polityki polskiej. Na takich zasadach oparta polityka miała bogacić i wzmacniać tych, którzy wyspecjalizowali się w sztuce obracania pieniądzem i śrubowania do góry lichwy pieniężnej. Cierpieć miał człowiek rolnego czy przemysłowego warsztatu.

Zanim więc przejdę do właściwego przedmiotu, chciałbym określić metody, jakimi przez szerzenie fałszywych poglądów starano się uspić czujność i powstrzymać aktywność gospodarczą społeczeństwa polskiego. Każdy przypomni sobie z łatwością, kto i na łamach jakich organów opinie te w społeczeństwie naszym szerzył.

1. Kiedy wybuchł kryzys światowy i cały ruchomy kapitał zagraniczny uciekł z Polski, zabierając poważną część złota Banku Polskiego, Polska nie znająca ani nadprodukcji ani nadspekulacji, które na świecie kryzys spowodowały, odczuła jednak skutki kryzysu. W tym momencie rozszerzono w Polsce przekonanie, że *jeżeli nie jedynym, to głównym powodem niedomagań naszego kraju jest właśnie kryzys światowy*. Przekonanie takie nakłonić nas miało do bezczynności. Polska sama nie mogła podejmować się walki ze światowym kryzysem, mogła tylko uczestniczyć w całkowicie bezskutecznych obradach międzynarodowych. Przekonanie takie budziło również złudne nadzieje, że jeżeli kryzys światowy minie, to i niedola gospodarcza w Polsce się skończy.

Poglądy takie były sprzeczne z rzeczywistością. Wszystkim nam wiadomo, że obroty zagraniczne Polski wynoszą wszystkiego kilkanaście procent obrotów wewnętrznych. Wiemy również, że większość wywozu zagra-

nicznego połączona jest nie z zyskiem, ale ze stratą grup wywożących, albo państwa premjującego wywóz. Z drugiej strony—spadek cen surowców przynosił nam zysk bodaj większy, niż straty na wywozie. Gdybyśmy np. za wełnę i bawełnę przywiezioną do Polski w roku 1934 musieli zapłacić ceny z r. 1929, to zapłacić musielibyśmy o okragło 318 milionów zł. więcej, niż zapłaciliśmy rzeczywiście. Przyczyny właściwe niedoli gospodarczej Polski pozostały te same, które przed 50 laty określił w swej *Nędzy Galicji* Stanisław Szczepanowski słowami: „Polak je za pół, a pracuje za ćwierć Europejczyka“.

2. Zważmy te słowa: „je i pracuje“. Te rzeczy są nierozłączne. Błędem było i jest hasło „*zaciskania pasa*“, które narzucono nam następnie przy gromkich oklaskach t. zw. szkoły liberalnej ekonomistów. Wzrost spożycia nie jest możliwy bez wzrostu produkcji, ale odwrotnie — przy spadku spożycia, przy spadku zbytu, powiększanie wytwórczości jest nonsensem, jest gospodarczem samobójstwem. Narzucono narodowi orjentację nie na wewnątrz, ale na zewnątrz społeczeństwa. Pewni politycy gospodarczy szerzyli przekonanie, że przez obniżanie stopy życiowej Polaka osiągniemy większe możliwości w międzynarodowym współzawodnictwie. Tymczasem wszystkie przodujące w gospodarstwie świata narody: Anglicy i Niemcy, Belgowie i Holendrzy, Yankesi czy Kanadyjczycy mają stopę życiową parokrotnie wyższą od polskiej. Współzawodniczenie wygłodzonym, stroskanym i znękanym psychicznie pracownikiem z człowiekiem dostatnio żyjącym w „wyścigu pracy“ jest zaiste beznadziejnym przedsięwzięciem, zwłaszcza gdy praca ta obciążona jest do ostateczności drożyzną pieniądza, dochodzącą do lichwy.

3. Równocześnie głoszono społeczeństwu, że *źródłem kapitalizacji wewnętrznej państwa, źródłem jedynem jest oszczędność*. Pogląd z gruntu fałszywy. Źródłem kapitalizacji jest i pozostanie na zawsze praca ludzka, przemieniona na narzędzia pracy lub dzieła użyteczności długotrwałej. Nie siemy 100 zł. do P. K. O. — P. K. O. zakupuje za nie oblig państwowy, a państwo wydaje te pieniądze na przykład na zasiłek dla bezrobotnych. Jakież w ten sposób kapitał, jakie nowe dobro kapitałowe przybyło Polsce? Żadne zaiste. Powstały tylko dwa zobowiązania na płacenie procentów: jedno ze strony P. K. O. dla obywatela, drugie ze strony państwa dla P. K. O. Dopiero gdyby państwo wybudowało za te pieniądze kawałek szosy, dom, szkołę, most i t. p., nastąpiłaby kapitalizacja pracy zajętych przy budowie robotników. Chodziło tu zupełnie jasno o odwrócenie uwagi społeczeństwa od beczynności mózgów i rąk ludzkich, a obudzenie w nim nadziei na dobrodziejstwa, płynące z gromadzenia beczynnych wierzytelności wzajemnych.

4. Kiedy państwa takie, jak Wielka Brytania, Włochy, Niemcy, Stany Zjednoczone, rozpoczęły wielkie roboty publiczne, aby zatrudnić bezro-

botnych i zwiększyć w ten sposób również *wewnętrzne spożycie dóbr użytkowych*, u nas rozpoczęła się zorganizowana akcja publicystyczna, mająca społeczeństwu polskiemu wykazać *zgubność sztucznego nakręcania konjunktury*. Słyszeliśmy wtedy z ust najpoważniejszych przepowiednie, że „*prędzej czy później państwa te zapłacą za sztuczne nakręcanie konjunktury straszną katastrofą*”, że Polska stać powinna i stać będzie niezłomnie przy zdrowej zasadzie nieforsowania konjunktury środkami sztucznymi. Zapominano o jednym: że każdy czyn gospodarczy jednostki, grupy czy państwa, jest tak czy inaczej nakręcaniem konjunktury. Zaniechanie czynu gospodarczego jest również nakręcaniem tej konjunktury, tylko w odwrotnym kierunku, *in minus*. Co się zaś tyczy sztuczności, to od wieków wszystko, co się składa na cywilizację nowożytną, jest „sztuczne”: zarówno droga jak pieniądz, zarówno kolej jak weksel.

5. Kiedy zaś dzięki „nakręcaniu konjunktury” w całym szeregu państw dobrobyt się poprawił, kiedy wielkie ilości energii twórczej rzucone zostały na przymnożenie potęgi zbrojnej państw, na dzieła, jakich w dziedzinie uzbrojenia czy fortyfikacji świat jeszcze nie widział — dla opinii publicznej polskiej stworzono nową teorię, która mówiła, że *to, co jest możliwe gdzieś indziej, nie jest możliwe w Polsce. Polska jest krajem zbyt biednym, aby pracować, zbyt zacofanym, aby wzorem innych inwestować*. Ludziom o prostym, zdrowym chłopskim rozsądku wydawało się, że im kto biedniejszy, tem więcej musi pracować, ale głos ich nie miał znaczenia, bo inaczej twierdziły powagi. W pomoc im przyszło staropolskie, ale bardzo zacofane przysłowie: „Wedle stawu grobla”. Nowożytna inżynierja mówi inaczej: „Im wyższa grobla, tem większy staw”.

Jak przewrotne, jak ignorancją czy złą wolą kierowane były te opinie, na to wystarczy porównanie bogactw przyrodzonych dwóch państw, które ostatnio wysunęły się na czoło potęg światowych, a więc Italji i Japonji — z Polską, z bogactwami Polski. Zarówno mniejsze terytorjalnie Włochy, jak i równe powierzchnią Polsce wyspy Japonji właściwej, są to kraje najuboższe w surowce. Włochy poza siarką wulkaniczną i marmurem kararyjskim na posągi swoich wielkich ludzi, nie mają literalnie żadnych surowców, ani węgla, ani nafty w ilościach handlowych, ani drzewa, ani rud metali. Do niedawna, przed robotami meljoracyjnymi, sprowadzać musiały również mąkę. Na jednego Japończyka przypada szósta część tej ziemi uprawnej co na jednego Polaka. Cztery miliony ton żywności dla ludzi i zwierząt sprowadzać muszą Japończycy, poza tem rudy, naftę i wszystkie (z wyjątkiem jedwabiu) surowce włókiennicze.

Jeżeli przeto Polska jest znacznie bogatsza w żywność i surowce od Włoch czy Japonji, jeżeli mimo to nie wolno jej marzyć o stworzeniu nie

równej, ale chociażby podobnej im potęgi, a tak twierdzą nasze powagi gospodarcze, to pozostaje jako jedyne wytłumaczenie przyjąć, że gatunek człowieka, jego dzielność, pracowitość, zdolności są parokrotnie niższe u Polaka niż u Japończyka lub Włocha. Przeciwno przyjęciu za prawdę tej tezy wzdryga się w nas nie tylko duma narodowa, ale doświadczenie dziejów, doświadczenie osobiste każdego z nas. Nie było dziedziny nauki, czy sztuki, w którejby Polacy genjuszem i pracą nie równali się z najpierwszymi na świecie, w próbie wojny również żołnierz nasz z każdym innym wytrzymywał porównanie. Naród, który wydał Kopernika i Curie-Skłodowską, Chopina i Wyspiańskiego, naród, który niedawno w wyścigu lotniczym sięgał po puhar zwycięstwa, nie może nigdy pogodzić się z myślą, aby osiągnięcia innych społeczeństw były dla niego zasadniczo nieosiągalne. A więc nieprawdą jest, aby Polska nie mogła, aby nie powinna dążyć przez rozwój do równej innym potęgi.

*

Urzędowa statystyka wykazuje nam, że w porównaniu do poziomu roku 1928 względnie 1929 wytwórczość naszych przemysłów (mimo wzrostu cyfry obywateli o 525.000 (1930) do 404.000 (1935) rocznie) spadła o trzydzieści parę procent, wytwórczość zaś innych, już kilkakrotnie bardziej od nas uprzemysłowionych społeczeństw wzrosła, że *dochód narodowy* spadł z 16.4 miljarda na 8.9 miliardów, że szacunek majątku narodowego musiał być obniżony ze 120 na 65 miliardów, że straciliśmy dwie trzecie zapasu złota banku emisyjnego, że, jak obliczył wicepremier Kwiatkowski, około dwóch miliardów złotych rezerw skarbowych lub nowych pożyczek zostało zjedzonych bez odpowiedniego powiększenia majątku narodowego. Mamy tu do czynienia z niewątpliwym objawem nierządu finansowego, czego nie należy utożsamiać z nierządem administracyjnym. Wprost przeciwnie: administracja państwowa była naogół oszczędna, a w niektórych działach, jak np. w administracji wojskowej, pobiliśmy wprost rekord oszczędności w utrzymaniu żołnierza.

Na czymże więc polegał błąd naszego systemu finansowego, który sprawił, że bilans gospodarki narodowej tak olbrzymimi zakończył się deficytami? Błąd polegał na tem, że interesy biernego kapitału postawione zostały na pierwszym, a interesy ludzi warsztatu, rolnego czy przemysłowego, na ostatnim miejscu. Lichwiarz zgarniał zyski, człowiek przedsiębiorczy, człowiek pracy załamywał się pod ciężarem odsetek i stale rosnącego kapitału. Ponieważ zaś lichwiarz, ani nawet właściciel książeczki oszczędnościowej jako taki, żadnych dóbr gospodarczych nie wytwarzają, rezultatem systemu *rosnącej w sile kupna waluty* musiały być potworne deficyty. Najwięksi ekonomiści współcześni, jak Irving Fisher czy Cassel, zwolennicy

stałej waluty, mówią nam, że tak zawsze być musi, że więc winą tu leży nie po stronie wykonawców, nie po stronie administracji państwa polskiego, ale całkowicie po stronie *systemu finansowego*, któryśmy przyjęli, względnie który narzucony nam został przez obcych doradców.

Jakto? — powiecie. Przecież Polska ma od lat blisko dziesięciu stałą walutę. Jest to oczywiście złudzenie. Stałość waluty nie polega na utrzymaniu jej blisko poziomu złota na rynkach zagranicznych. Stałość jej, która obchodzi nas wszystkich, obywateli państwa, nie uprawiających spekulacji walutami obcemi, polega na tem, aby za 100 złotych mniej więcej taką samą ilość towarów czy pracy ludzkiej zakupywało się dziś, za rok, za lat pięć i t. d.

Jeżeli, jak to miało miejsce przez sto kilkadziesiąt lat przed wojną, w miarę zwiększania się i malejących kosztów wydobywania złota, pieniądź powoli ale stale tracił siłę kupna — to była to premia dla ludzi przedsiębiorczych, którzy budowali i inwestowali. Ludzie ci oddawali faktycznie mniej, niż pożyczyli. Natomiast jeżeli, jak to się działo u nas od założenia Banku Polskiego, siła kupna pieniądza szła w górę, a ceny towarów i pracy ludzkiej spadały — to zyskiwał wierzyciel, a tracił z reguły pożyczający warsztat pracy. Rzeczy te są tak znane z życia, że nie potrzebują szczególnych komentarzy. Wiemy wszyscy, że rolnik, który pożyczył na potrzeby swego warsztatu kapitał wartości 100 korcy żyta i płacił przez pięć lat wysokie, specyficznie polskie odsetki, winien jest obecnie nie 100, ale 200 korcy żyta. Ponieważ warsztat pracy rolnej przynosił mu rocznie, powiedzmy, 6 procent od wartości, straty tego człowieka są olbrzymie. Wiemy, że często koszty drenowania morgi gruntu były większe, niż szacunek ziemi zdrenowanej obecnie. Rolnik ten dzieciom i wnukom zakaże wszelkich inwestycji, to jest wszelkiej poprawy warsztatu, wszelkiego rozwoju czy postępu, czy kapitalizacji rzeczowej. Widzimy na tym przykładzie, jakie spustoszenie w życiu może zrobić pieniądź o silnie rosnącej mocy kupna.

Wielu wojskowych budowało domy mieszkalne. Domek, który kosztował przed sześciu laty 60.000 zł., można obecnie wybudować za 35.000 zł. Co się stało z takim budowniczym murowanej Polski, który połowę kapitału na budowę domku pożyczył prywatnie? Jego wierzyciel, człowiek bierny, może obecnie zabrać dom za dług. Budujący, człowiek czynny, stracił bez żadnej winy ze swej strony cały włożony kapitał. Jeżeli system finansowy działa tak, że każdy człowiek czynny i przedsiębiorczy musi tracić, a człowiek bezczynny zyskiwać, to ruina przedsiębiorczości społecznej jest nieuchronna. Zastanawiające jest, że ludzie, którzy system taki wprowadzili, są równocześnie w teorii zwolennikami inicjatywy prywatnej. Zabi-

jali tę inicjatywę przez szereg lat, głosząc się tej inicjatywy wyznawcami i obrońcami.

Jak wiadomo, Bank Polski zaczął swoją działalność od wyznaczenia stopy procentowej 12 na rok. Za pobieranie 13-tu procent wsadzano przed wojną do więzienia. Czyż była to chęć nadmiernych zysków ze strony akcjonariuszy? Sądzę, że raczej gruntowna nieznajomość prawdziwie nowożytnych finansów. Banki angielskie pobierają od klientów na rachunku otwartym 4 procent, a mimo to płacą 25 procent dywidendy od akcji. Zasadą nowożytnego życia gospodarczego są bowiem wielkie i szybkie obroty przy małym zysku jednostkowym.

Polskim finansistom zdawało się, że najpewniejszą drogą zapewnienia walucie polskiej stałości jest wypuścić jej w obieg jaknajmniej. Zastosowanie tej metody przyniosło, z jednej strony, straty akcjonariuszy, którzy płacili za akcje 173 złote, a musieli je sprzedawać często za 50 zł. i niżej, a z drugiej strony — straty w majątku narodowym społeczeństwa, które to straty, jak widzieliśmy, Urząd Konjunktur obliczył w r. 1933 na 55 miliardów, a obecnie są one prawdopodobnie większe. Przesunawszy punkt ciężkości z *pracy* narodu w rolnictwie, przemyśle, rzemiośle i handlu na *pieniądz*, stanęli nasi finansisci na stanowisku, że Polska powinna mieć najmniej pieniędzy w obiegu ze wszystkich krajów europejskich: o 50 procent mniej niż Rumunja lub Jugosławja, o 100 procent mniej niż Węgry i Finlandja — nie mówiąc już o innych państwach nowożytnych.

Komu, poza domowymi lichwiarzami, polityka taka przyniosła korzyść? Niewątpliwie jednemu tylko czynnikowi: kapitałowi zagranicznemu. Kapitał finansowy mógł pobierać z Polski najwyższe znane na świecie odsetki, obcy kapitał przemysłowy, korzystając w swym kraju z niskich odsetek, mógł wypierać obywateli państwa polskiego ze wszystkich zyskowych przedsiębiorstw, a równocześnie korzystać z taniej robocizny. Nic dziwnego, że stan posiadania, stan wpływów obcych agentur musiał rosnąć z dniem każdym, że pod wpływem tej hegemonji coraz więcej mózgów polskich w dobrej wierze stawało w rzędzie obrońców tez gospodarczych, przez ten kapitał dyktowanych.

Pieniądz jest także towarem. Im go mniej na rynku, tem wyższa musi być jego wartość, czyli siła kupna. Wyobraźmy sobie, coby było, gdyby ktoś kazał nam żyć w zamkniętym pokoju, z którego zabrano połowę tlenku i zastąpiono azotem, albo co musiałoby się stać z maszyną, której dla oszczędności dalibyśmy połowę smarów których potrzebuje? Zaczęłaby iść coraz leniwiej z powodu zwiększonych oporów. Przed wojną było na ziemiach polskich w obiegu 55 frs. na głowę, czyli 93 zł. okrągło. Obecnie państwo już niezależne, z rosnącymi potrzebami, ma żyć za 40 zł. na głowę,

z czego około 50 procent jest unieruchomione w tezauryzacji i pogotowiach kasowych. Te wszystkie objawy zastoju, które w naszym życiu gospodarczym nastąpiły, to nie był przypadek: to było konieczne następstwo tego systemu finansowego, tej polityki finansowej.

Jakież jest wyjście z sytuacji, którą naszkicowałem?

Znajdujemy się gospodarczo dokładnie w położeniu tem samem, w jakim znajdowaliśmy się strategicznie w lipcu 1920 r. pod Warszawą. Chodzi o to, aby po długim odwrocie gospodarczym zdecydować się na kontratak wszystkimi siłami. Mamy b. poważne szanse zwycięstwa. Szanse te są następujące:

Mamy do dyspozycji doświadczenia szeregu innych państw, które weszły na tory szybkiego rozwoju gospodarczego. Możemy unikać błędów, a wyzyskać strony dobre polityki inwestycyjnej.

Mamy tę wyższość nad krajami zachodnimi, że nasze inwestycje mogą i powinny być rentowne, podczas gdy tam są one już zbyt niskie. Dla przykładu jedynie przytoczę: a) że opracowywany przeze mnie gospodarczo kanał węglowy Gliwice — Kraków — Nadbrzezie — Jarosław — Dniestr — Prut — Dunaj — Morsze Czarne (koszt około 900 milionów zł.) miałby zapewniony fracht większy od kanału suezkiego i przynosiłby rocznie nadwyżkę walut w wysokości około 150 milionów zł.; b) rozprowadzenie gazociągami gazu naturalnego i koksowego po Polsce może dać świetną rentę. Rurociąg z Krośnieńskiego do Mościc zapłacił się podobno w półtora roku; c) Ministerstwo Rolnictwa opracowuje plany usunięcia zakwaszenia traw w południowej części basenu Prypeci przez szereg tam dolinowych na Styrze i Horyniu kosztem kilkudziesięciu milionów złotych. Przypominam tu dane Por. Kosmana, że milion hektarów wystarczyłby na wyhodowanie tyłu owiec, abyśmy ani kilograma wełny nie sprowadzali, oraz przypominam, że w ciągu lat dziesięciu wydaliśmy zagranicę 3,6 miliardów zł. na bawełnę i wełnę, t. j. *nieomal tyle, co całe zadłużenie zagraniczne Rzeczypospolitej!*

Uruchomienie dla dzieł gospodarczych i obronnych państwa 400.000 (bezpośrednio i pośrednio zajętych) robotników, co leży w granicach technicznych możliwości, dałoby Polsce tak silny impuls gospodarczy, że aby wywołać podobny zagranicą, trzeba by uruchomić roboty dla kilku milionów ludzi. Pamiętajmy, że cały wielki przemysł polski zatrudnia, i to nie przez cały tydzień, niespełna 600.000 ludzi. Zgubiona ciągle kurczeniem się obrotów rentowność odnajdzie się — i to równocześnie w rolnictwie i w przemyśle prywatnym. Ciężko pracujący i dobrze wynagradzany człowiek musi (a więc będzie) obficie jeść i odpowiednio się ubierać.

Niski poziom płac obecnych, nawet powoli a stale podnoszony, sprawi, że cokolwiek czy to państwo czy przy jego pomocy instytucja pry-

watna zbuduje, zbudowane będzie tanio i rosnać będzie w swej wartości. Równocześnie szacunek starych nieruchomości i majątku wogóle odzyskiwać będzie powoli część utraconej wartości (55 miliardów zł.).

Zastanowić się specjalnie należy nad sprawą, jaki wpływ na sytuację Skarbu państwa miałyby podjęcie robót inwestycyjnych w rozmiarach, przypuścimy, miljarда złotych rocznie. Ostatnio zajmowało się tą sprawą Międzynarodowe Biuro Pracy przy Lidze Narodów. Jak zawsze, najdokładniejsze obliczenia wpłynęły z Rzeszy Niemieckiej. Według tych danych, wydanie na inwestycje 100 milionów powoduje *zwiększenie wpływów i oszczędności kas publicznych w wysokości 55 milionów*.

Przy naszym zastoju w obrotach gospodarczych i słabem uprzemysłowieniu efekt skarbowy powinien być wyższy. Gdybyśmy atoli przyjęli tylko wzrost wpływów i oszczędności o 50 procent kosztorysów i gdybyśmy połowę sumy wydali na inwestycje państwowe, a połowę kredytowali inwestycje prywatne, pozostające w związku z planem gospodarczym i zbrojeniowym — to praktycznie te państwowe inwestycje nie kosztowałyby ani grosza. To nie są żadne cuda. To jest prosty rezultat tego, że pół miliona obywateli, którzy nic albo niewiele pracowali, oddało swą pełną pracę Ojczyźnie. Cudem byłoby, gdyby dobrobyt państwa wzrastał bez pracy obywateli. Są ludzie, którzy w taki cud wierzą. Ja nie.

Naturalny zupełnie objaw, że środki wydane na inwestycje wracają poprzez obrót gospodarczy i zarobki obywateli do kas skarbowych, tłumaczy nam fakt, że im jakie państwo więcej w przeszłości inwestowało, tem jest bogatsze. Nawet w tym wypadku jeżeli inwestycje w przeważnej mierze idą na nieproduktywne zbrojenia, ciężar tych zbrojeń nie łamie siły odpornej społeczeństw. Przyznam się, że nie znam w dziejach przykładu narodu, któryby zginął z nadmiaru zbrojeń. Znam takie, które padały z ich braku.

Naród nasz miał już na przykładzie Gdyni naukę, co znaczy dokonanie wielkiej inwestycji publicznej we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Trudno zaiste obliczyć, trudno wyobrazić sobie, jakbyśmy obecnie politycznie i gospodarczo wyglądali, gdybyśmy byli inwestycji tej nie zrobili, ile w szczególności złota musielibyśmy płacić portom cudzoziemskim za oddawane nam przysługi i jaka byłaby nasza od nich zależność. Naród, który już tak korzystne zrobił doświadczenia z inwestycjami, przyjąłby wprowadzenie w życie planu równie rozumnych i celowych inwestycji z entuzjazmem. Entuzjazm narodu jest głównym warunkiem powodzenia każdego dzieła, a szereg powodzeń—źródłem szczęścia publicznego.

Przystępuję do rzeczy najtrudniejszej, do sprawy owych środków, o których się tyle mówi, a które są potrzebne na uruchomienie pracy ludzkiej w potężnych rozmiarach. Mówi się o tem wiele, ale mało się tę sprawę

myślowo pogłębia. Inteligencja polska, w przeważającej mierze nie wytwarzająca dóbr kapitałowych czy użytkowych, żyjąca z pensji na pierwszego, wyobraża sobie, że praca około wytwarzania towarów pożera kapitały. Tymczasem ta praca i ona jedynie je tworzy. *Jeżeli zaś praca tworzy, a nie pożera kapitały, to wszelkie środki, które do uruchomienia tej pracy zmobilizujemy, powinni nas zrobić majątniejszymi a nie biedniejszymi.* Chodzi więc jedynie o wybranie formy tych *środków kredytowych* najodpowiedniejszej i najkorzystniejszej w naszej polskiej rzeczywistości.

Środki na wykonanie inwestycji czerpać można z podatków albo z kredytów. Wszyscy chyba godzimy się, że w stosunku do obecnego dochodu narodowego obywatele są przeciążeni świadczeniami publicznymi. Różnica między podatkiem a kredytem jest przedewszystkiem ta, że kredyt udzielony państwu powinien być płynnym aktywem w majątku prywatnym, podatek zaś jest w bilansie czystą stratą.

Pożyczkę zagraniczną uważać należy za operację najkosztowniejszą ze wszystkich, bo opłacać ją musimy przeważnie stratnym wywozem. Dopóki nie zaczniemy wielkich inwestycji, nie mamy nawet tytułu do pożyczania. Tak jak bankier niechętnie udziela człowiekowi prywatnemu pożyczek konsumpcyjnych, tak również niechętnie udziela ich państwom. Odrzućmy więc samą nawet myśl pożyczki zagranicznej. Normalne kredyty towarowe za surowce możemy mieć zawsze na bardzo niski procent, a sprawa wysokości odsetek jest dla dzieła inwestycji najważniejszą. Odsetki są dlatego najważniejsze, że nowożytnie państwa płacą odsetki akuratanie, ale zaciągniętych pożyczką kapitałów nie zwracają praktycznie nigdy. Byliśmy świadkami przed dwoma laty, że rząd W. Brytanji, osiągnąwszy poważne nadwyżki budżetowe, wolał zwrócić część już pobranych podatków, niż spłacić część swego długu, który wynosi okragło 8 miliardów funtów, czyli przeszło 200 miliardów złotych. Wolał on zwrócić część podatków płaconych przez ludzi przedsiębiorstw i czynnych warsztatów, niż zwracać pieniądze biernym kapitalistom, którzy może użyliby ich na spekulacje lub niepewne inwestycje zagraniczne. Finanse angielskie są solidnie prowadzone.

Jak wiadomo, nasze wewnętrzne zobowiązania państwowe są minimalne. Włochy w r. 1910 miały, podobnie jak Polska obecnie, 34 miliony mieszkańców. Dług wewnętrzny tego podówczas młodego, słabo pracującego i słabo administrowanego państwa wynosił 13.4 miliardów lirów czyli przeszło 20 miliardów złotych. Mimo to 3½ procentowy papier włoski miał na giełdzie paryskiej kurs 84 za sto. A Polsce dla jej najpilniejszych potrzeb starczyłoby podnieść dług wewnętrzny do trzeciej części długu Włoch z r. 1910!

Czyż więc mamy wypuścić nową pożyczkę typu obligacyjnego? Są-

dżę, że nie, a dlaczego, zaraz wytłumaczę. Są tego dwa powody: pierwszy, że Polska żyła zbyt długo pod znakiem lichwy. Półtora do dwóch procent miesięcznie dyskonta uchodziło u nas latami za rzecz godziwą. Naskutek tych lichwiarskich odsetek kurs papierów państwowych kształtował się niestychanie nisko. Najlepiej gwarantowana Pożyczka stabilizacyjna daje oprocentowanie 11 od sta rocznie! Aby nowy papier stał 100 za 100, musiałby przynosić więcej niż 11 procent. To jest, naturalnie, niemożliwe. Dotychczasowa nasza polityka emisyjna była z gruntu fałszywa. Wypuszczano papier, powiedzmy, po 95 procent, albo zgoła „al pari“, a następnie, kiedy subskrybenci stracili już znaczną część włożonego kapitału, banki państwowe skupowały tę pożyczkę, zarabiając na odsetkach i spłacie kapitału.

Jest przysłowie angielskie, że nie można zjeść ciastka, a potem go sprzedać. Okazuje się, że można było w Polsce najprzód sprzedać ciastko, a potem je zjeść. Metodę tę uprawialiśmy nazbyt długo, aby ją można było dalej prowadzić. Na tem tle wyrobiło się w Polsce przekonanie, że udzielanie Państwu kredytu jest obywatelską ofiarą. Jest to najzgubniejsza herezja finansowa, jaką sobie można wyobrazić. Zdrowi, zdolni do pracy obywatele mają żyć z zapomóg. Państwo ma znów korzystać z ofiarności zawsze tych samych grup obywatelskich, jakby ta ofiarność dała się pogodzić z zasadą sprawiedliwego rozkładu ciężarów i jakby wogóle jakiegokolwiek — z wyjątkiem może Grecji — państwo nowożytne na świecie liczyło na dochody z ofiarności obywateli.

Z taką metodą chorych finansów musimy skończyć radykalnie. *Składkami nie buduje się potęgę mocarstwowej. Buduje się ją natomiast wzajemną uczciwością.* Pożytyłem sto, oddaję sto i odsetki. Uczciwość taka jest dla każdego dobrze administrowanego państwa tem łatwiejsza, że, jak powiedzieliśmy, nie znamy państwa, którego zobowiązania malałyby; wszystkie je zwiększają, to jest zmieniają tylko wierzycieli i dług długiem spłacają, czyli konwertują.

Wychodząc z założeń powyższych, już pięć lat temu autor słów niniejszych opracował projekt najodpowiedniejszej, jego zdaniem, w warunkach polskich formy kredytu wzajemnego. Miał to być bon w odcinkach 10 zł., 50 zł., 200 zł. i 1000 zł., który przyjmowany byłby narówni z banknotami przez wszystkie kasy państwowe, samorządowe, monopolowe z doliczeniem za każdy miesiąc 3 groszy od 10 złotych. Jeżeli raz kasy publiczne przyjmować będą wpłaty po niezmiennym kursie miesięcznym, to przyjmować je będą po tym samym kursie wszyscy obywatele. Emisja bonów pozwoli na zrealizowanie trzyletniego programu inwestycyj; po miliardzie rocznie. Bony stanowić będą nie tylko środek obrotowy, ale najprymitywniejszą książeczkę oszczędności bez kosztów administracji.

Po wystąpieniu z projektem tym w Partji Pracy, potem zaś w Lidze odrodzenia gospodarczego, potem znów w osobnej rozprawie pod nagłówkiem *Wielkie roboty publiczne* — spotkałem się z następującemi zarzutami. Najważniejszy z nich jest ten, że nowy środek obrotowy narusza monopol Banku Polskiego. Możnaby tak twierdzić, gdyby oblig był nieoprocentowany. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jakiś pan Stanisław czy Salomon może puszczać w obieg swoje weksle czy czek, a państwo polskie, które w samych kolejach i lasach ma kapitał 10 miliardów złotych, miałoby być prawa tego pozbawione. — Drugą wątpliwością było, czy oblig taki będzie miał „legitymację gospodarczą“. Legitymacją gospodarczą jest kupno za oblig realnego towaru lub nie mniej realnych usług czyli poprostu pracy ludzkiej. Jeżeli oblig będzie wydawany tylko na cele inwestycji, to będzie miał legitymację gospodarczą; jeżelibyśmy, wbrew założeniom, chcieli płacić nim ludziom za *nie-robotę* — to naturalnie legitymacji mieć nie będzie. — Trzecim zarzutem był pogląd, że on stwarza dwuwalutowość w państwie. Zarzut ten odpada, skoro oblig opiewa na złote polskie. — Czwartym, najcięższym zarzutem było, że wypuszczenie takiego obligu oznaczałoby wejście na tory inflacji. Co to jest inflacja? Inflacja to jest nadmiar środków obiegowych i kredytowych w stosunku do rzeczywistych potrzeb obrotowych społeczeństwa. Stawiający zarzut ten nie obliczyli jednak nigdy, ile mianowicie środków obrotowych potrzebuje społeczeństwo polskie.

Pozwolę sobie tę sprawę nieco wyjaśnić. Jak już wspomniałem, przed wojną na ziemiach Rzeczypospolitej kursowało samego pieniądza 55 franków złotych na głowę, czyli okrągło 93 złote na głowę. Obecnie mamy na głowę około 40 złotych, podczas gdy Rumunja i Jugosławja mają okrągło o 50 procent więcej, a Węgry i Finlandja o 100 pr. Idąc tak dalej, dochodzimy do Francji, która ma okrągło banknotów 2000 franków na obywatela. Przed wojną wszystkie prawie państwa europejskie miały obieg banknotów nieco większy od rocznego budżetu państwowego, nie licząc bilonu i złotych monet. Obliczając na tonnę przewozu kolejowego, doszedłem również do rezultatu, że w Europie na tonnę towaru mamy najmniej pieniądza ze wszystkich państw.

Obok pieniądza do obrotu służą czek, przekazy i weksle. Według Instytutu Konjunktur, kursowało w Polsce w r. 1929 pięć miliardów weksli; obecnie kursuje niecały miliard. Mamy więc *brak 4 miliardów*. Aby nastąpił *nadmiar*, musi być najprzód zapełniony *brak*, brak, który jest przyczyną katastrofy, mianowicie stale rosnącej siły kupna pieniądza, czyli stałego spadku cen towarów i pracy, ziemi i domów, papierów państwowych i akcji przemysłowych. Według moich obliczeń, wydając rocznie *miliard* na inwestycje i zbrojenia, dopiero po trzech latach nasycilibyśmy potrzeby obroto-

we do wysokości dwóch miliardów, to znaczy jeszcze nie zapełnilibyśmy połowy luki, stworzonej przez ubytek weksli prywatnych. Około miljarda wypuszczonych bonów należałoby wycofać z dodatkowych wpływów skarbu, spłat osób prywatnych i sprzedaży części majątku skarbowego. Niewątpliwie uda się również dzięki nowej polityce uruchomić część zamrożonych kredytów banków państwowych, a nawet część zaległości podatkowych. Skończymy może również nareszcie ze sprzecznymi z ideą prawa moratoriami, które niszczą zdrowy kredyt w społeczeństwie.

Rzecz jasna, że do wykonania zadania, stosownie do jego wielkości, użyć należy odpowiednio wielkich środków. Bombardowanie żelazobetonowej fortecy z C.K.M-ów równa się marnowaniu amunicji i oglupianiu własnego żołnierza. Podobnie w życiu gospodarczym musi istnieć między zadaniem a środkami, które trzeba zmobilizować dla jego wypełnienia, jakaś proporcja. Obliczam, że w Polsce istnieje konieczność zmobilizowania 400 tysięcy robotników do nowych robót. Można się sprzeczać, że wystarczy 380.000 lub że potrzeba 450.000, ale napewno sprawy bezrobocia, sprawy uprzemysłowienia, koniecznego wzrostu spożycia i spraw pochodnych nie załatwi zatrudnienie 100.000 rąk i proporcjonalnej ilości mózgów.

Niesposób w jednym artykule zamknąć całego splotu zagadnień aktywizacji. Nadmienię tu tylko muszę, że istnieją w Polsce zasadniczy jej przeciwnicy. Rozumowanie ich jest takie: z chwilą gdy tylko Polacy złączą tego pracować, złączą lepiej jeść, to równocześnie wzrośnie spożycie dóbr importowanych, polski bilans handlowy stanie się bierny, reszta złota odpłynie i waluta się załamie. Na takie rozumowanie odpowiem obliczeniem, że przy systemie obniżek i zaciskania pasa *straciliśmy dwie trzecie zapasu złota*. Nie przypuszczam również, aby robotnicy przy robotach inwestycyjnych zjadali sardynki, palestyńskie pomarańcze i pili wina francuskie. Import nasz będzie musiał się skoncentrować na surowcach, a przede wszystkim metalach, i dziury w niebie nie będzie, jeżeli przywóz zbytłowny ograniczymy do minimum na przeciąg paru lat. Zamiast przedmiotów zbytku sprowadzać będziemy surowce, a taki towar nadaje się również do zamiennych transakcyj. W każdym razie lęk przed wysiłkiem, przed podniesieniem stopy życiowej, przed lepszym, pełniejszym życiem jest czemś, czego zrozumieć nie jestem w stanie.

Jakie są szanse, że szeroki program aktywizacji może zostać zrealizowany? Odpowiem na to słowami wicepremiera Kwiatkowskiego, które zawierają zarazem wielką prawdę ekonomiczną: „Wszystko da się zrobić, czego mocno pożąda wola społeczeństwa. Chciało Gdynię, zrobiło się Gdynię. Zachce czegoś innego, będzie to miało. Najważniejszym jest, żeby chciało“. Otóż dziś już nie ulega wątpliwości, czego chce społeczeństwo. Miljony rąk

wyciągają się ku nam, miliony skurczonych głodem i upokorzeniem bezrobocia pięści podnosi się w górę i woła: pracy! Krocie młodzieńców kieruje ku nam oczy i woła: „Dajcie nam pole zasługi dla Polski, wy, których los szczęśliwy takimi możliwościami zasług na polu chwały obsypał. Dajcie pole do pracy!“ A za tym tłumem idą nasze karne, zwarte kolumny wojska i żądają broni i uprzemysłowienia kraju, broni najnowszej i najnowszych środków transportowych. Trzeba sobie uświadomić, że ktokolwiek stanie przeciw tym siłom, zostanie prędzej czy później zmieciony z życia polskiego. A chodzi przecież o uniknięcie wstrząsów.

Między nami a ideą Wielkiej Polski, o którą walczyliśmy, stoi cień, mara, poczucie niemocy, kompleks niższości w stosunku do innych narodów, jeżeli nie w sensie politycznym, to gospodarczym. Otóż jest to tylko mara. A skoro tak, to droga jest jasna. Drogę tę starałem się wedle swojej najlepszej wiedzy wskazać: przez *pełną* aktywizację życia gospodarczego, przez wielkie inwestycje — do wielkiej, zdrowej i potężnej Polski.

PAWEŁ HERTZ

P O K O L E N I E

Wir wie ihr zeigten glücklichen barbaren
Dass höchster stolz ein schönes sterben sei...

(Stefan George)

*Z tej marmurowej urny płynie czas
i srebrną wstęgą obu nas powiąże:
Ty, który miasta podniesioną dłonią
żegnasz i obce witasz zorze, księżę,
ja, który modłę się za wszystkich nas,
tam się spotkamy nad przejrzystą tonią.*

*Tam cyprys drogę wskazuje wieczności
i niebo zrzuca deszcz ognistych piór,
na zrujnowanych kolumnach milczenia,
które przed nocą bieleją, jak kości
umarłych zwierząt, widzę strzałę cienia
i smugę lata i milczący chór.*

*Tam chłodne wody klaszczą o wybrzeża,
naoślep gnając gubi drogę koń,
nadmorskie wyspy stoją tak jak wieża
i nagle burza, jak wzniesiona dłoń,
w zamarłe miasta piorunem uderza.*

*Tutaj już koniec wszystkich ziemskich dróg
i wszystko żywe staje się popiołem.
Ja już po tamtej stronie trwam bez trwóg,
ty wiecznej burzy zdasz się być aniołem,
lecz zamiast skrzydeł kołczan masz i łuk.*

HENRYK KLEIST

KSIĄŻĘ HOMBURGU

II

AKT II — SCENA ÓSMA

Wchodzi Hrabia Sparren i Wachmistrz; pozostali jak poprzednio.

ELEKTOROWA O, po raz wtóry nie strącaj mnie w przepaść!

KSIĘŻNICZKA Nie, droga matko...

ELEKTOROWA Więc... Fryderyk — żyje.

KSIĘŻNICZKA (*pełna wiary*) Życie się znowu do ciebie uśmiecha.

WACHMISTRZ Tu jest oficer!

KSIĄŻĘ Hrabio Jerzy Sparren,

Pan to widziałeś Jego Mość Książęcą

W zdrowiu i sile przy korpusie Truchsa?

HR. SPARREN Tak jest, mój książę — na podwórzu księdza,

Gdzie w otoczeniu sztabu dawał rozkaz,

By pogrzebano trupy obu armij.

DAMY DWORU Boże — na piersi twojej... (*obejmują się*)

ELEKTOROWA Córko moja...

KSIĘŻNICZKA Tyle radości jest nad moje siły (*przyciska twarz do łona ciotki*)

KSIĄŻĘ Czyż nie widziałem, na czele mej jazdy,

Jak rozszarpany przez kule armatnie

Wraz z siwkiem swoim runął w pył na ziemię?

SPARREN Siwek w pył runął razem ze swym jeźdźcem —

Lecz jeździec, książę, nie był to nasz pan.

KSIĄŻĘ Nie był to pan nasz?

KSIĘŻNICZKA (*podnosi się i staje przy Elektorowej*)

O, radości!

KSIĄŻĘ

Mówże, —

Słowa twe złota będą miały wagę.

SPARREN To, co opowiem — będzie, moi państwo,
 Dla uszu ludzkich dziwnie wzruszające.
 Pan kraju, głuchy — jak zwykle — na prośby,
 Znów dosiadł konia białego jak śnieg,
 Którego Froben kupił mu niedawno
 W Anglii. Jak zawsze, i teraz był celem
 Nieprzyjacielskim pociskom armatnim,
 A kto należał do jego orszaku,
 Ponad sto kroków nie mógł się doń zbliżyć.
 Jakby szeroką rzeką śmierci płynąc,
 Waliły fale granatów, kartaczy...
 Kto żył, uciekał czempredzej do brzegu;
 On tylko — śmiały pływak — bez wahania,
 Swym przyjaciółom dając znak, sterował
 Do tego wzgórza, skąd tryskało źródło.

KSIĄŻĘ Tak jest, na Boga! Straszno było patrzeć.

SPARREN Koniuszy Froben, co w przybocznej świcie,
 Jechał tuż za nim, tak zawrzasnął do mnie:
 „Niech djabli wezmą ten połysk siwosza,
 Ciężkiem złociwem płacony w Londynie!
 Z rozkoszą dałbym pięćdziesiąt dukatów,
 Ażeby pokryć go szarością myszy!“
 Podjechał bliżej i krzyknął do pana:
 „Wasza Wysokość, wasz koń jest płochliwy —
 Pragnąłbym znowu zabrać go do szkoły“.
 Mówiąc te słowa, zeskoczył z bułanka
 I konia księcia pochwycił za uzdę;
 Śmiejąc się, księżę zsiadł i tak mu odparł:
 „Tę sztukę, której pragniesz go nauczyć,
 Pojmie dopiero po nadejściu nocy;
 Zawieź go, proszę, daleko za wzgórze,
 Gdzie jego maści wróg już nie wypatrzy“.
 To mówiąc, dosiadł bułanka Frobena,
 By tam powrócić, gdzie wołała służba.
 Zaledwie jednak Froben wsiadł na siwka,
 Morderczy ogień z pobliskiej reduty
 Obalił jeźdźca na ziemię wraz z koniem —
 Runął w kurzawę, ofiara wierności...
 Żadne już słowo z jego ust nie wyszło (*Krótką pauza*)

KSIAŻĘ Zaiste, gdybym żywotów miał dziesięć,
Nie mógłbym lepiej użyć ich, niż Froben!

KSIEŻNICZKA Waleczny Froben...

ELEKTOROWA Zacny, zacny, zacny...

KSIEŻNICZKA Gorszy od niego wart byłby mych łez (*Płaczą*)

KSIAŻĘ Dosyć! do rzeczy — mów mi, gdzie Elektor.
Czyżby w Hackelwitz stał teraz kwatery?

SPARREN Daruj, lecz pan nasz ruszył do Berlina,
Generalicja zaś dostała rozkaz,
Aby niezwłocznie udać się tam za nim.

KSIAŻĘ Co, do Berlina? — Czyż pochód wstrzymany?

SPARREN Przebóg! To dziwne: ty nie wiesz o niczem?
Generał szwedzki, hrabia Horn, tu przybył;
W obozie, wkrótce po jego przybyciu,
Zawarte było zawieszenie broni.
Jeślim zrozumiał marszałka Dörflinga,
Podjęto jakieś ważne rokowania —
Nawet, być może, i pokój nastąpi.

ELEKTOROWA Boże, jak pięknie wszystko się rozjaśnia! (*wstaje*)
Podążmy szybko za nim do Berlina.

KSIAŻĘ Zrobisz mi, pani, miejsce w swym powozie,
Żebym corychlej stanąć mógł w Berlinie?
Dwa słowa tylko skreślę do Kotwitza
I w okamgnieniu ruszam razem z wami.

ELEKTOROWA O, z miłą chęcią — zmieścisz się w powozie (*Książę
siada i pisze, potem składa list i oddaje go Wachmi-
strzowi, przyczem obraca się do Księżniczki i ra-
mieniem otacza łagodnie jej kibić*)

KSIAŻĘ Jedno mam jeszcze nieśmiałe życzenie,
Którebym pragnął w drodze ci wyjawić.

KSIEŻNICZKA (*oswobadzając się od niego*)
Bork, proszę chustkę na szyję...

ELEKTOROWA Życzenie?

I DAMA DWORU Przecież, Księżniczko, chustkę masz na szyi.

KSIAŻĘ No, nie zgadujesz?

ELEKTOROWA Nie!

KSIAŻĘ Ani literki?

ELEKTOROWA (*przecinając*) Zostaw — ja dzisiaj nikomu na świecie
Nie jestem w stanie odmówić niczego —

A tobie najmniej, zwycięsko w tej bitwie.
W drogę!

KSIAŻĘ O matko, jakieś rzekła słowo!
Mogę je przyjąć tak jak tego pragnę?

ELEKTOROWA W drogę — rozmowę skończymy w powozie.
Podaj mi ramię,

KSIAŻĘ O, boski Cezarze,
Do twojej gwiazdy przystawiam drabinę (*wyprowadza damy;
pozostali wychodzą za nimi*).

SCENA DZIEWIĄTA

Berlin. Ogród przed starym zamkiem; na dalszym planie — kościół zamkowy ze schodkami. Dźwięk dzwonów, kościół jest jasno oświetlony; widać jak niosą ciało Frobenia i ustawiają je na wspaniałym katafalku. Wchodzą: Elektor, Marszałek Dörfling, Pułkownik Hennings, Hrabia Truchs i inni; naprzeciw Elektora wychodzą oficerowie z deszami. W kościele, tak jak i na placu, tłum różnej płci i wieku.

ELEKTOR Ten, kto prowadził jazdę w dniu rozprawy
I nim pułkownik Hennings zdołał mosty
Zburzyć na Rinie, ruszył własnowolnie,
Choć odpowiednich nie dostał rozkazów,
Przedwcześnie wroga wpędzając w ucieczkę —
Winien jest śmierci. Oznajmiam wszem wobec,
Że sąd wojenny ustanowię nad nim.
Książę Homburgu nie prowadził jazdy?

HRABIA TRUCHS Nie, książę panie.

ELEKTOR Kto mi to powiada?

HRABIA TRUCHS Mogą ci o tem świadczyć owi jeźdźcy,
Którzy mi rzekli przed zaczęciem bitwy,
Że książę upadł razem ze swym koniem;
W kościele mieli podobno go widzieć
W głowę i uda ciężko ranionego.

ELEKTOR To obojętne: zwycięstwo jest wielkie —
Jutro dziękować będę u ołtarzy;
Lecz gdyby nawet było stokroć większe,
Nie jest bez winy ten, którego ręką
Los mi je złożył. Ileż jeszcze bitew
Poza tą jedną będę musiał stoczyć?
Chcę, by dla prawa było posłuszeństwo;
Kimkolwiek byłby ten, co w bój wiódł jazdę —
(Raz jeszcze mówię) odda za to głowę,
Gdy sąd wojenny ustanowię nad nim.
— A teraz, proszę, chodźmy do kościoła.

SCENA DZIESIĄTA

Wchodzą: Ksiązę Homburgu — z trzema szwedzkimi chorągwiami w ręku, Pułkownik Kotwitz — z dwiema, Hrabia Hohenzollern, Rotmistrz Goltz i Hrabia Reuss — każdy z chorągwią, wielu innych oficerów, kaprali i jeźdźców z chorągwiami, bębnami i sztandarami.

MARSZAŁEK (*ujrzawszy Księcia*)

Ksiązę Homburgu?! Truchs?! Skądże wy tutaj?

ELEKTOR (*do Księcia*) Skądże ty tutaj?

KSIĄŻĘ

Panie, z Ferbellina

Te ci wojenne przynoszę trofea (*kładzie swoje trzy chorągwie na ziemi; za nim oficerowie, kaprale i jeźdźcy składają swoje*)

ELEKTOR (*zaskoczony*)

Podobno byłeś niebezpiecznie ranny? (*do Truchsa*)

Mój hrabio!

KSIĄŻĘ (*gorąco*) Przebacz!...

TRUCHS

Wielce mnie zdumiewa...

KSIĄŻĘ Jeszcze przed bitwą upadł mój kasztanek;

Dłoń, którą lekarz mi obandażował,

Niegodna tego, by ją nazwać ranną.

ELEKTOR Więc to ty jazdą dowodziłeś w bitwie?

KSIĄŻĘ (*patrzy nań*) Ja, oczywiście — czyż muszę to mówić?

Wszak u stóp twoich złożyłem dowody.

ELEKTOR Zabrać mu szpadę! Ksiązę, jesteś więźniem.

MARSZAŁEK (*przerażony*) Komu?

ELEKTOR (*wchodzi między chorągwie*)

A, Kotwitz! Witaj-że mi w zdrowiu.

TRUCHS Przeklęty!

KOTWITZ To mi dojadło do żywa!

ELEKTOR (*spojrzawszy nań*)

Czyś ty co mówił? Patrz, ten pokos sławy

Do stóp rzucony: wszakże to chorągiew

Przybocznej gwardji — prawda, pułkowniku? (*bierze chorągiew, rozwija ją i ogląda*)

KOTWITZ (*do Elektora*) Panie...

MARSZAŁEK

Mój władco...

ELEKTOR

Adolfa Gustawę

Czasy pamięta. Jak brzmi napis na niej?

KOTWITZ Mnie się wydaje...

MARSZAŁEK

„Per aspera ad astra“.

ELEKTOR Nie dotrzymała w ferbellińskim boju.

KOTWITZ (*nieśmiało*) Pragnąłbym, ksiązę, dwa słowa rzec.

ELEKTOR

O czym?

Zabrać te wszystkie chorągwie, sztandary

I porozwieszać u kolumn świątyni:

Święto zwycięstwa jutro nam uświetnią (*zbliża się do kurjerów,
bierze depesze, łamie i czyta*)KOTWITZ (*do siebie*) Na Bożą Mękę, tego już zawiele! (*Jeden z ofi-
cerów staje przed Księciem*)

OFICER Masz oddać szpadę — proszę cię, mój książę.

HOHENZOLLERN (*z boku, z chorągwią w ręku*)

Zachowaj spokój, drogi przyjacielu...

KSIĄŻĘ Snie — czuвам — żyję... jestem w pełni zmysłów?

GOLTZ Książę, daj szpadę, radzę ci — i milcz!

KSIĄŻĘ Ja mam być więźniem?

HOHENZOLLERN

Tak jest.

GOLTZ

Wszak słyszałeś.

KSIĄŻĘ A czy przyczynę mógłbym znać?

HOHENZOLLERN (*z naciskiem*) Nie teraz.

Widzisz: wcześniej, choć ostrzegaliśmy,

W bój się rzuciłeś — pomimo rozkazu,

Byś, nie wołany, stał w miejscu i czekał.

KSIĄŻĘ Na pomoc, drodzy, bo szał mnie się ima!...

GOLTZ (*przerywając*) Cicho...

KSIĄŻĘ

Czyż nasi zostali pobici?

HOHENZOLLERN (*tupie nogą*)

To obojętne — prawa trzeba słuchać.

KSIĄŻĘ (*z goryczą*) Ach, więc to tak, to...HOHENZOLLERN (*odchodząc od niego*) Głowy ci nie urwą.GOLTZ (*tym samym tonem*) Jutro zapewne znów odzyskasz wolność.ELEKTOR (*składa listy i powraca w grono oficerów*)KSIĄŻĘ (*odpiwszy szablę*)

Kuzyn Fryderyk chciałby grać Brutusa —

Już widzi siebie na obrazie kredą

Namalowanym, na kurulnem krześle:

Chorągwie szwedzkie rzucone pod stopy,

Na stole — kodeks wojennego prawa...

Na Boga, we mnie nie znajdzie on syna,

Co go czcic będzie pod toporem kata...

Tu, w moich piersiach bije serce Niemca,

Więc do szlachetnych porywów nawykłem;

Lecz skoro książę z antyczną srogością

Raczył się do mnie w tej chwili przybliżyć —

Dojadł mi mocno, chociaż mi go żal (*oddaje szpadę Oficerowi i odchodzi*)

ELEKTOR Do Ferbellinu, do głównej kwatery!
Tam sąd wojenny wyda nad nim wyrok!

Odchodzi do kościoła; towarzyszą mu chorągwie. Gdy Elektor ze swym orszakiem kłęką u trumny Frobenia i modli się — chorągwie, przytwierdzone do słupów, zaczynają łopotać i powiewać. Marsz żałobny.

AKT TRZECI

SCENA PIERWSZA

Scena: więzienie w Ferbellinie. Książę Homburgu; na dalszym planie dwóch jeźdźców, jako straż. Wchodzi Hrabia Hohenzollern.

KSIĄŻĘ Patrzcie — to Henryk! A witajże, witaj!

Więc jestem wolny?

HOHENZOLLERN (*zdumiony*) O, chwałaż ci, Boże!

KSIĄŻĘ Co mówisz?

HOHENZOLLERN Wolny? więc zwrócił ci szpadę?

KSIĄŻĘ Nie.

HOHENZOLLERN Nie?

KSIĄŻĘ Niestety!

HOHENZOLLERN No, więc skądże wolny?

KSIĄŻĘ (*po krótkiej pauzie*) Właśnie myślałem, że to ty mi szpadę
Odnosisz. Zresztą — co tam!

HOHENZOLLERN Ja nic nie wiem.

KSIĄŻĘ Ech, mniejsza o to — słyszysz: mniejsza o to;
Przyśle mi szpadę przez kogoś innego (*odwraca się i przynosi
Hohenzollernowi krzesło*)

Siadaj i mów mi, co słyhać nowego:

Czy już elektor powrócił z Berlina?

HOHENZOLLERN (*roztargniony*) Tak, wczoraj wieczór.

KSIĄŻĘ Pewnie tam był obchód

Święta zwycięstwa?

HOHENZOLLERN No tak, oczywiście.

KSIĄŻĘ Czy sam Elektor przybył do świątyni?

HOHENZOLLERN I on i księżna z Natalją przy boku.

Kościół wspaniale iluminowano,

A przy Te Deum z zamkowego placu

Dały się słyszeć armatnie wystrzały.

Zdobyczne szwedzkie chorągwie, sztandary

Chwiały się dumnie u sklepu świątyni.

Na osobisty rozkaz Elektora

Imię twe padło z kazalnicy, jako
Imię zwycięscy w ferbellińskiej bitwie.

KSIĄŻĘ Wiem o tem; raczej mów mi, z czem przychodzisz.
Coś twoja mina nietęga, mój miły!

HOHENZOLLERN Czyś z kimś rozmawiał?

KSIĄŻĘ Tak, z Goltzem na zamku,
Gdzie mnie poddano — jak wiesz — przesłuchaniu.

HOHENZOLLERN (*przygląda mu się niepewnie*)

No, a co myślisz o swem położeniu,
Odkąd tak bardzo wszystko się zmieniło?

KSIĄŻĘ Ja? No, to samo, co Goltz, ty, sędziowie.

Elektor spełnił nakaz obowiązku —
Teraz i serca zkolei posłucha.

„Zbłądziłeś“, powie z surową powagą,
Dodając słówko o śmierci, więzieniu;
„Ja jednak wolność daję ci zpowrotem“, —
No, i znów łaską, niby wieńcem kwiatów,
Oplecie miecz ten, co mu dał zwycięstwo.
Jeśli nie — trudno: nie byłem jej godzien.

HOHENZOLLERN Arturze... (*zatrzymuje się*)

KSIĄŻĘ Słucham.

HOHENZOLLERN Takiś tego pewien?

KSIĄŻĘ Tak sobie myślę, bo znam swoją wartość.
Jestem dlań cenny, niczem syn rodzony —
Wszak miałem na to tysiączne dowody
Już jako dziecko: jakaż więc wątpliwość
Dręczy cię skrycie? Czyliż się nie zdawał
Bardziej ode mnie radować rozkwitem
Mej młodej sławy? No, spróbuj zaprzeczyć:
Czyż tem, czem jestem, nie jestem przez niego?
I on, on teraz miałby bezlitośnie
Roślinkę, którą wychował, podeptać
Za to jedynie, że trochę przedwcześnie
I nazbyt bujnie wystrzeliła kwieciem?
Jego wrogowi nie mógłbym uwierzyć —
A cóż dopiero tobie, który znasz go!

HOHENZOLLERN (*znacząco*)

Przecież stawałeś przed sądem wojennym.
I wciąż się łudzisz?

KSIĄŻĘ To właśnie dlatego.

Któżby, na Boga, tak daleko poszedł,

Jeśli by nie miał później ułaskawić?
 Tam — tak: tam właśnie, przed kratkami sądu
 Fałę nadziei znów poczułem w sercu.
 Byłaż to bowiem śmiertelna przewina
 O dwie minuty wcześniej niż kazano
 Szwedzką potęgę wdeptać w proch i pył?
 Jenó ta jedna ciąży na mnie zbrodnia.
 Czyżby elektor przed ów stół mnie ciągał,
 Przed bezlitosnych sędziów, co jak sowy
 Grobową piosnkę o kuli mi nucą,
 Jeśli by nie miał ze swem słowem władcem,
 Podobny Bogu, stanąć wśród ich grona?
 Nie, mój kochany — on gromadzi chmury
 Nad moją głową, by, podobny słońcu,
 Przez ich opary przedrzeć się promiennie —
 A tej uciechy niech sobie nie skąpi!

HOHENZOLLERN Jednak trybunał wydał ponoć wyrok?

KSIĄŻĘ Wiem, wyrok śmierci.

HOHENZOLLERN (*zdumiony*) Ach, więc znasz już wyrok?

KSIĄŻĘ W naradzie sędziów i Goltz uczestniczył:

On-to mi przyniósł sentencję wyroku.

HOHENZOLLERN No więc? Na Boga, i to cię nie wzrusza?

KSIĄŻĘ Mnie, ach, bynajmniej.

HOHENZOLLERN Na czem swą szaleńczą

Pewność opierasz?

KSIĄŻĘ Na własnem odczuciu (*wstaje*)

Daj pokój — poco zwątpieniami truć się? (*opanowuje się i znowu siada; pauza*)

Sąd musiał przecież karę śmierci orzec,
 Bo praw wojennych tak żąda litera.
 Lecz nimby książe kazał spełnić wyrok
 I nimby serce, które tak go kocha,
 Na zgubę wydał, potrząsając chustą —
 Wpierwby sam raczej, własną pierś rozwarłszy,
 Krew z niej wysączył po kropelce w piasek.

HOHENZOLLERN No, więc... Arturze, zapewniam...

KSIĄŻĘ (*niechętnie*) Co, miły?

HOHENZOLLERN Marszałek...

KSIĄŻĘ Zostaw!

HOHENZOLLERN Pozwól mi dokończyć:

Jeżeli uznasz, że to drobiazg — zmilknę.

KSIĄŻĘ (*obraca się znów ku niemu*)

Wiesz, że słyszałem o wszystkim: cóż jeszcze?

HOHENZOLLERN Właśnie marszałek przed chwilą na zamek

Wyrok na piśmie zaniósł księciu (dziwne!),

A książe, zamiast — jak pozwala prawo —

Okazać łaskę, wydał zarządzenie,

Żeby mu wyrok dano do podpisu.

KSIĄŻĘ Przestań, — to błahe...

HOHENZOLLERN

Błahe?...

KSIĄŻĘ

Do podpisu?

HOHENZOLLERN Tak jest, na honor — jestem tego pewny.

KSIĄŻĘ Kto ci to mówił?

HOHENZOLLERN

On sam, sam Marszałek!

KSIĄŻĘ Kiedy?

HOHENZOLLERN Przed chwilą.

KSIĄŻĘ

Gdy wracał od księcia?

HOHENZOLLERN Kiedy zstępował ze schodów zamkowych,

Ujrawszy moje przygnębienie, szepnął:

„Jeszcze nie wszystko stracone — wszak jutro

Także skazańca może ułaskawić!”

Lecz bladeść jego przeczyła tym słowom,

Zdała się mówić, — boję się, — że nie!

KSIĄŻĘ (*wstaje*) On... mógłby? Nie, nie! Myśli tak potworne

Zaliżby mogły lęgnąć mu się w sercu?

Z powodu skazy, którą ledwie można

Przez szkło zobaczyć świetnego diamentu,

Miałżeby w błoto wdeptać dawcę, który

Z diamentu tego podarek mu zrobił?

Ten czynby świecił Dejowi z Tunisu

Srebrnym połyskiem archanielskich skrzydeł;

Sardanapala ozdobiłby; a wszystkich

Tyranów rzymskich — niewinnych jak dzieci,

Co przed poczęciem umrą w łonie matki —

Mógłby przerzucić na prawicę Boga!

HOHENZOLLERN (*wstaje również*)

Sam musisz, miły, przekonać się o tem.

KSIĄŻĘ No, a Marszałek: milczał? nie rzekł słowa?

HOHENZOLLERN Cóż miał powiedzieć?

KSIĄŻĘ

Boże, me nadzieje!...

HOHENZOLLERN Chybaś uczynił coś, przypomnij sobie —

Czy to świadomie, czy też nieświadomie, —
Czem uraziłeś może jego dumę?

KSIĄŻĘ Nigdy!

HOHENZOLLERN A jednak...

KSIĄŻĘ Nigdy, na niebios!

Świętością dla mnie był cień jego głowy.

HOHENZOLLERN Drogi, spokojnie! Ja śmiem o tem wątpić.

Gdy poseł szwedzki, Horn, zawitał do nas,

(A jego misja — jako zapewniają —

Miała dotyczyć księżniczki orańskiej)

Słowo, co wyszło z ust księżęcej żony,

Miało boleśnie dotknąć Elektora.

Mówią, że panna zrobiła już wybór:

Czy tu przypadkiem nie chodzi o ciebie?

KSIĄŻĘ Boże, co mówisz?

HOHENZOLLERN Więc jednak o ciebie?

KSIĄŻĘ Tak: o mnie, miły — teraz zrozumiałem!

Te oświadczyły stały się mą zgubą.

Ja jestem winien odmowy księżniczki,

Co mnie łaskawie przyrzekła swą rękę.

HOHENZOLLERN Ach, cóżeś zrobił, nierozważny głupcze?

Jakże cię często wiernie przestrzegałem!

KSIĄŻĘ O przyjacielu, myślmy nad ratunkiem.

HOHENZOLLERN Jakby tu można cało wyjść z tej matni?

Może pomówisz z ciotką?

KSIĄŻĘ Straży, bywaj!

JEŻDZIEC Tutaj!

KSIĄŻĘ Zawołać do mnie oficera! *(zdejmuje płaszcz ze
ściany i wkłada kapelusz z piórem, leżący na stole)*

HOHENZOLLERN *(pomagając mu)*

Ten krok, krok mądry, będzie twym ratunkiem.

Niech tylko książe zyska możność zgody

Z królem Karolem za wiadomą cenę —

Da się z łatwością przejednać, zobaczysz,

I nim dzień minie, znowu będziesz wolny.

SCENA DRUGA

Wchodzi Oficer; pozostali jak poprzednio.

KSIĄŻĘ *(do Oficera)*

Stranz, jestem twojej powierzony straży:

Pozwól, bym w sprawie nie cierpiącej zwłoki

Stąd się oddalił. Wrócę za godzinę.

OFICER (*skłaniając się przed Księciem*)

Nie jesteś mojej powierzony straży:

Dostałem rozkaz i wolno ci, książe,

Iść każdej chwili, dokąd tylko zechcesz.

KSIĄŻĘ Dziwne, zaiste — więc nie jestem więźniem?

OFICER Daruj, twe słowo także jest łańcuchem!

HOHENZOLLERN (*przerywa*) To wyśmienicie.

KSIĄŻĘ

Zatem bądźcie zdrowi

HOHENZOLLERN A łańcuch nogi będzie pętał księciu.

KSIĄŻĘ Udam się tylko na zamek do ciotki

I w dwie minuty stanę tu z powrotem (*Wszyscy odchodzą*).

SCENA TRZECIA

Scena: pokój Elektorowej. Elektorowa i Natalja wchodzą.

ELEKTOROWA Idź, moja córko — teraz twoja kolej:

Już poseł szwedzki, hrabia Gustaw Horn,

I jego świta opuścili zamek.

W komnacie stryja — widzę — płonie światło;

Chodź, weź tę chustę, owiń się i wejdź tam —

Może potrafisz ocalić mu życie (*Chcą odejść*).

SCENA CZWARTA

Wchodzi dama dworu; pozostali jak poprzednio.

DAMA Książę Homburgu, Miłościwa Pani,

Stoi przed progiem: oczom trudno wierzyć!

ELEKTOROWA (*zaskoczona*)

O, Boże...

KSIĘŻNICZKA Sam jest?

ELEKTOROWA Więc nie jest w więzieniu?

DAMA Stoi tam w płaszczu, w kapeluszu z piórem,

Wzburzony, prosi uparcie o posłuch.

ELEKTOROWA (*z niechęcią*) Ach, nierozważnie łamie swoje słowo.

KSIĘŻNICZKA Kto wie, co zaszło!

ELEKTOROWA (*siada na fotelu, po chwili namysłu*)

Proszę wpuścić księcia.

SCENA PIĄTA

Wchodzi Książę Homburgu; pozostali jak poprzednio.

KSIĄŻĘ (*do Elektorowej, padając przed nią na kolana*)

O, moja matko!

ELEKTOROWA Książę, z czymś tu przybył?

KSIĄŻĘ O, daj mi tylko objąć twe kolana...

ELEKTOROWA *(tłumiąc wzruszenie)*

Miejsce twe, książe, w więzieniu — nie tutaj;
Czemu przydajesz do starych win — nową?

KSIĄŻĘ Wiesz ty, co ze mną?

ELEKTOROWA Tak jest, wiem o wszystkim,
Lecz ja ci — biedna — nic nie mogę pomóc.

KSIĄŻĘ O, matko moja, czy takbyś mówiła,
Gdyby śmierć ciebie tak brała jak mnie?
Wydajesz mi się w niebieski ratunek
Wyposażoną, tak jak i księżniczka
I damy dworu. Mógłbym dzisiaj ciurze
Najpodlejszemu, co czyści twe konie,
Upaść na piersi i błagać „ratunku!”.
Ja jeden tylko na szerokim świecie
Jestem bezradny, sam, nie mogę nic!

ELEKTOROWA Ty, tracisz władzę nad sobą? Cóż zaszło?

KSIĄŻĘ Ach! bo po drodze, przy świetle pochodni
Grób zobaczyłem, wykopany dla mnie,
Grób, co ma jutro przyjąć moje zwłoki!
Patrz: o, te oczy, co na ciebie patrzą,
Chcą powlec cieniem, ciotko!... A te piersi
Morderczą kulą naprzestrzał przewiercić!
Na placu targów zamówione okna,
Skąd będzie widać to czcze widowisko;
A ten, co przyszłość na życia wierzchołku
Proroczem okiem jeszcze dziś oglądał,
Jutro — cuchnący, w dwie deski ujęty,
Spocznie, a kamień powie ci: „on był“.

Księżniczka, która do tej pory, wsparta na piersiach damy, stała z boku — opiera się
o stół i płacze.

ELEKTOROWA Synu, lecz jeśli taka wola niebios —
Uzbrój się w męstwo, opanuj swą rozpacz.

KSIĄŻĘ Świat Boży, matko, tak przedziwnie piękny!...
Nie daj mnie wcześniej, nim przyjdzie godzina,
Wtrącić w te czarne ciemności! Jeżeli
Chce mnie ukarać — niech karze; wszelako
Czemuż tą karą ma być właśnie kula?
Może mnie przecież złożyć z mych urzędów
I po kasacji, skoro tak chce prawo,
Z wojska wydalić... — O, Boże w niebiesiech,

Grób swój widziałem... Nie chcę nic — chcę żyć, —
Już się nie pytam o to, czyli sławnie!...

ELEKTOROWA Wstań, wstań, mój synu — co też opowiadasz?
Nadtoś wzruszony, zapanuj nad sobą!

KSIĄŻĘ Nie pierwej, ciotko, aż mi tu przyrzekniesz
Przed najjaśniejszem obliczem ukłęknać,
Z prośbą, co może przynieść mi ratunek.
Wszak moja matka — twoja przyjaciółka
Z dawnych lat młodych, na śmiertelnem łożu
Twojej mnie pieczy powierzając, rzekła:
„Bądź mu ty matką, skoro mnie zabraknie“
A ty przed łóżkiem padłaś na kolana
Wielce wzruszona i przyrzekłaś matce:
„Będę go kochać, jak własnego syna“.
Więc dziś przypomnij sobie o tych słowach,
I jak za własnym synem, idź i błagaj:
„O łaskę proszę — wróć mu z łaski wolność“,
Ach, i przyjdź do mnie powiedzieć: „Tyś wolny“.

ELEKTOROWA Mój drogi, synu, ja już próbowałam,
Lecz prośby wszystkie były nadaremne.

KSIĄŻĘ Każdej się szczęścia wyrzekam iskierki!
Natalji, — pomnij powtórzyć mu wiernie, —
Wcale nie pragnę; co więcej, w mem sercu
Żar uczuć dla niej wygaś już doszczętu.
Znowu jest wolna, jak sarna w ostępie, —
Ręką i słowem rozporządzać może,
Jakby mnie nigdy nie było — i jeśli
Króla szwedzkiego wybierze, tak będzie!
Ja wrócę prosto do swych dóbr nad Renem,
Tam chcę budować i tam chcę rozwalać,
Tam w pocie czoła siać i zbierać będę
(Jakbym miał żonę i dzieci) — dla siebie;
A kiedy zbiorę, chcę znów siać na nowo
I tak w kieracie życie przekołać,
Aż o zachodzie schyli się i zgaśnie!

ELEKTOROWA Dobrze, — lecz jeden stawiam ci warunek:
Byś zaraz tajnie wrócił do więzienia.

KSIĄŻĘ *(wstaje i zwraca się do Księżniczki)*
Biedna! ty płaczesz... Słońce dziś przyświeca
Twoim nadziejom schodzącym do grobu.
Pierwszy twój poryw obrócił cię ku mnie;

Czytam w twej twarzy, że wierna jak złoto
 Nie oddasz ręki nikomu innemu!
 Ach, cóż wymyślę, żeby cię pocieszyć?
 Idź nad brzeg Menu — tam, gdzie zakład Panien,
 Do twojej ciotki, i wyszukaj w górach
 Chłopca o lokach tak jasnych jak moje:
 Złota nie żałuj — kup go i do piersi
 Mocno przyciśnij, naucz szeptać „mamo“,
 A gdy podrośnie — pokaż mu, jak trzeba
 Umierającym powieki zamykać!
 Oto jest szczęście, które ciebie czeka.

KSIEŻNICZKA *(odważnie i wzniosłe wstaje, — rękę kładzie w jego
 dłonie)*

Wróc do więzienia, młody bohaterze,
 I popatrz sobie spokojnie raz jeszcze
 Na grób dla siebie dziś przygotowany:
 Nie jest ni trochę ciemniejszy ni szerszy,
 Niż tysiąckrotnie oglądany w bitwach...
 A ja się udam, po kres wierna tobie,
 Żeby ci żywot wyżebrać od stryja.
 Och, może zdołam serce jego zmiękczyć
 I ciebie z wszelkiej oswobodzić troski *(Pauza)*

KSIAŻĘ *(składa ręce, zapatrzony w nią jak w tęczę)*
 Gdybyś u ramion dwoje skrzydeł miała,
 Tobym zaiste wziął cię za anioła.
 Boże! com słyszał: ty prosić chcesz za mną?
 Ach, gdzież spoczywał kołczan twojej mowy
 Do dzisiaj, dziecko? Miałabyś odwagę
 W tak ważnej sprawie udać się do księcia?
 Gwiazdo nadziei, zajaśniałaś — dla mnie.

KSIEŻNICZKA Bóg da mi strzały, które go nie chybią;
 Lecz jeśli ksiązę nie może odmienić
 Litery prawa, jeżeli nie może —
 Poddasz się losom z odwagą mężczyzny.
 Ten, kto stokrotne miał w życiu zwycięstwa,
 Ten może chyba raz pokonać śmierć!

ELEKTOROWA Czas drogocenny rącho bieży, — chodźmy!

KSIAŻĘ Niechaj ci święci przybędą z odsieczą!
 Żegnajcie, — żegnaj: cokolwiek osiągniesz,
 Daj mi znać zaraz o wyniku prośby.

AKT CZWARTY

SCENA PIERWSZA

Scena: pokój Elektora. Elektor stoi przy stole z papierem w ręku; na stole pełno świec. Natalja wchodzi przez środkowe drzwi i w pewnej odległości przed nim pada na kolana. Pauza.

KSIEŻNICZKA Mój drogi stryju, księżę Fryderyku!

ELEKTOR (*odkładając papier*) Nataljo! (*chce ją podnieść*)

KSIEŻNICZKA Pozwól!

ELEKTOR Czego chcesz, najdroższa?

KSIEŻNICZKA U stóp twych — w prochu, tak jak mi przystoi,

Proszę o łaskę dla mego kuzyna.

O, nie dla siebie pragnę go zachować,

Choć go me serce pożąda — przyznaję, —

Lecz nie dla siebie pragnę go zachować!

Może poślubić jaką chce dziewczynę;

Ja pragnę tylko: niech wśród nas zostanie

Dla siebie tylko — wolny, niezawisły,

Jakby kwiat jakiś, co mi się spodobał!

O to cię błagam, mój najwyższy Panie

I przyjacielu: wiem, że mnie wysłuchasz.

ELEKTOR (*podnosi ją*) Córuniu moja, co za słowo rzekłaś?

Czy wiesz, co Homburg, kuzyn twój, zawinił?

KSIEŻNICZKA O, drogi stryju...

ELEKTOR Więc nic nie zawinił?

KSIEŻNICZKA Ach, jego tylko poniosła gorliwość,

By blasku przydać twojemu imieniu.

A to, że przytem rozkaz wodza złamał —

Zbłądził jak młodziak; ale równocześnie

Jak mąż dojrzały pokonał on smoka.

Wpierw — że zwyciężył — wieńczyć; potem — ścinać:

Nie, tego dzieje od ciebie nie pragną!

Takby to wzniosłe było, drogi stryju,

Że możnaby to nieludzkiem zwać prawie,

A Bóg ci przecie dał serce gołębie.

ELEKTOR Dziecino droga, gdybym był tyranem,

To choćbym nawet miał serce z żelaza —

Musiałbym zmięknąć, słuchając twej mowy.

Lecz teraz pytam: zali mogę wyrok

Przez sąd wydany śmiało unicestwić?

Jakieżby skutki mógł mieć czyn podobny!

KSIEŻNICZKA Skutki — dla ciebie?

ELEKTOR

Co, dla mnie? Nie dla mnie —

Czy nic większego ponad mnie nie znasz?

Czy ci jest obca ta świętość, co w polu

W ustach żołnierzy zowie się ojczyzną?

KSIEŻNICZKA Nie troszcz się o to, panie — wszak ojczyzna

Jeszcze się przez to nie rozpadnie w gruzy,

Ży ty dla niego uczynisz akt łaski.

To, co ty, panie, wychowany w polu,

Zwiesz nieporządkiem — czyn, któryby wyrok

Sądu potargał — w tym jednym wypadku

Mnie najpiękniejszym widzi się porządkiem.

Wojenne prawo musi rządzić, — wiem to;

Lecz niech też rządzą łagodne uczucia.

Ojczyzna, której strzeżesz nam jak lew,

Wyniosłym stoi gmachem, drogi stryju,

I jeszcze cięższe zdoła przetrwać burze,

Niż triumf, który przyszedł, nie wołany.

Gmach ten w przyszłości świetnie się rozwinie

Pod ręką wnuka, upiększy, rozrośnie

W baszty przebudne, świetne — ku radości

Wszystkich przyjaciół i ku zgrozie wrogów.

Tego spoidła zimnego i czczego:

Krwi przyjaciela — nie trzeba mu na to,

Żeby przetrzymał twoją jesień, stryju!

ELEKTOR On też tak myśli?

KSIEŻNICZKA

Kto — kuzyn z Homburgu?

ELEKTOR Czy i on mniema, że to wszystko jedno,

Czy w państwie prawo czy bezprawie rządzi?

KSIEŻNICZKA Ach, ten młodzieniec...

ELEKTOR

Dalej!

KSIEŻNICZKA

Drogi stryju,

Niech za odpowiedź moje łyzy ci starczą.

ELEKTOR Czemu, córucho — coś takiego zaszło?

KSIEŻNICZKA (z ociąganiem się)

On teraz myśli tylko o ratunku;

Spojrzały w niego rury z ramion strzelców

Tak przeraźliwie, że przejęty grozą

Nie ma już życzeń nad to jedno: „żyć!“

Mogłaby cała brandenburska marchja

Zapaść się przed nim w piorunach i grzmotach,

A onby nawet nie spytał, co zaszło.

Ach, zgmiotłeś serce, przedtem jakże mężne! (*odwraca się i płacze*)

ELEKTOR (*z najwyższem zdumieniem*)

To niemożliwe: on — błaga — o łaskę?...

Czy dobrze słyszę, najdroższa Nataljo?

KSIEŻNICZKA Lecz ty go nigdy, nigdy nie potępisz?

ELEKTOR Nie, — mów mi: błaga o łaskę? na Boga!

Co to się stało? Dlaczego tak szlochasz?

Czy z nim mówiłaś? wyjaw mi: mówiłaś?

KSIEŻNICZKA (*wsparta na jego piersi*)

Przed chwilą właśnie — na pokojach ciotki,

Dokąd on w płaszczu, w kapeluszu z piórem

Wślizgnął się tajnie pod osłoną nocy —

Błędny, lękliwy, bez godności własnej.

Politowania godzin... Przykry widok!

W taką aż nędzę, — wierzę, — nikt nie popadł,

W kim dzieje wielbią swego bohatera!

Patrz: ja, kobieta, wzdrygam się, gdy czasem

Robak mi jakiś podpełźnie pod stopy;

Lecz tak zgniecionej, nieopanowanej,

Niebohaterskiej — mnieby nie znalazła

Śmierć pod postacią lwa obrzydliwego!

Czemżeś, wielkości, chemżeś, ludzka sławo!...

ELEKTOR (*zmieszany*) Dość już, na Boga ziemi i niebiosów!

Nabierz odwagi, dziecko: on jest wolny.

KSIEŻNICZKA Jakto, — mój książę...

ELEKTOR Piszę dekret łaski;

Wszystko, co trzeba, zaraz przygotowuję.

KSIEŻNICZKA Najdroższy, czy to... prawda?

ELEKTOR Wszak słyszałaś.

KSIEŻNICZKA Kasujesz wyrok? Więc on już nie umrze?!

ELEKTOR Na cześć rycerską przysięgam: czy mógłbym

Temu mniemaniu żołnierza się oprzeć?

Jak wiesz, najczulsze żywzię poważanie

W głębinie serca dla jego uczucia:

Jeśli on może wyrok mieć za krzywdę,

To znoszę wyrok: jest wolny! (*przynosi jej krzesło*)

Siadź trochę (*idzie do stołu, siada i pisze; pauza*)

KSIEŻNICZKA O, serce moje, tak tłuczesz o piersi...

ELEKTOR Księżę jest jeszcze w zamku?

KSIĘŻNICZKA

Wybacz, panie,

Ale z powrotem wrócił do więzienia.

ELEKTOR *(kończy list i przykłada pieczęć, poczem wraca z nim do Księżniczki)*

Doprawdy: moja córeczka płakała —

A ja, któremu radość jej zlecono,

Musiałem niebo zachmurzyć jej oczom *(obejmuje ją ramieniem)*

Możebyś chciała sama list mu wręczyć?

KSIĘŻNICZKA W ratuszu, — jakto?

ELEKTOR *(wciska jej list w rękę)* Czemu nie? Hajduki! *(Wchodzą Hajducy)*

ELEKTOR Zaprzegnąć konie! Księżniczka ma sprawę

Do pułkownika Artura Homburga *(Hajducy odchodzą)*

Niech ma okazję, by dzięki ci złożyć

Za swoje życie. No, cóż: znowu zgoda? *(przytula ją do piersi)*

KSIĘŻNICZKA Czemu twa łaska spada tak znienacka,

Tego ja nie wiem i nie chcę zgadywać;

To jednak wiem i czuję w mojej piersi,

Że nie zadrwiłeś nieszlachetnie ze mnie,

I chociaż nie znam treści tego listu —

Sądzę, że księżę znajdzie w nim ratunek, —

A więc, mój stryju, dziękuję ci za to *(całuje go w rękę)*

ELEKTOR Napewno, córko, napewno — o ile

Nasz kuzyn Homburg tego sobie życzy!

(Dokończenie nastąpi)

Przełożył

JAN SZTAUDYNGER

WILLIAM BLAKE

K S I Ę G A T H E L

Does the Eagle know what is in the pit;
Or wilt thou go ask the Mole?
Can Wisdom be put in a silver rod,
Or Love in a golden bowl?

I

*Szły córę Serafina z słonecznem stadem wkrąg,
prócz tej, która (najmłodsza), blada, szukała tchu,
by zwiędnąć jak czar świtu w śmiertelnym swoim dniu.
Nad nurtem rzeki Adon słysząc jej miły głos —
to ścieka skarga cicha, porannych urok ros:*

*„O życie zdroju, czemu lotos na toni zwiądl,
to dziecię wód zrodzone na uśmiech i na zgubę?
O Thel, tyś tęczę chyba, obłokiem wędrującym,
albo odbiciem w lustrze, cieniem na głębi fal,
dzieciaczka snem, a może uśmiechem jego ust,
lub gołębicę głosem, dniem chyżym, tonem sfer...
Ach, kiedyż legnę cicho, głowę łagodnie złożę,
i usnę śmierci snem, gdy się napęlni dal
głosem Tego, co sad odwiedza o wieczorze...”*

*Tu lilja dolin wzdycha w ciżbie pokornych traw,
dziewczęciu odpowiada: „Jestem roślinką wodną,
maleńkam jest i lubię w dolinach zamieszkiwać
i słabam tak, że ledwo motylek siądzie złoty,
a miałam z niebios Gościa. Radości wielkich Siewca
co dnia, dolinę idąc, dłonie nade mną wznosi.
„Pokorna trawko, kwiatku, rozwesel się — raz rzekł —
panienko cichych dolin i najskromniejszych rzek.
Będziesz odziana w blask, manną cię ranek zrosi,
nim u ruczajów, źródeł stopi cię lata żar,
tyś kwitła w jarach wieków...” Thel, czegoż tobie żal?
zemu się smucić ma władczyni Hara łak?”*

Zamilkła. W śmiechu łzach zamknęła się powoli.
 I rzekła Thel: „A ty, panienko cichych dolin,
 rozdajesz dary tym, co prosić cię nie mogą.
 Oddechem żywisz jagnię, mleko z twych wdycha szat.
 Gdy ścina kwiaty twe, uśmiechasz się doń zbliśka,
 ścieras mu płamy złe z jego miękkiego pyszczka.
 Wino twe miód złocisty oczyszcza, a zaś wonie
 sycą drobniutkie żdźbła traw, co się tutaj plenią
 i karmią mleczne krowy i ujarzmiają konie.
 A Thel — jak nikły obłok różowiejący świtem —
 zniknę z perłowych tronów. Któż znajdzie, co ukryte?”

„Królowo dolin — Lilja odrzekła — pytaj chmur,
 czemu w zarannych niebios toni tak jasno skrzą się,
 że w lazur leje się ich gorejący urok.
 Zstąp-że, obłoku, zstąp, Thel się przed oczy staw”.

Zstąpiła. Wówczas Lilja schyliła skromnie kwiat
 i troskom się oddała w zielonym gąszczu traw.

II

„Obłoku — mówi Panna — proszę, odpowiedz mi,
 czemu nie skarżysz się, chociaż w godzinie więdniesz.
 Będziemy szukać cię — napróżno... Thel, jak ty.
 Przemijam, skarżę się, a nikt nie słucha smętnie...”
 Odslania obłok twarz. Złotopromienny kształt,
 migocąc w atmosferze, przed Thel obliczem stał.

„Panno, czy wiesz, co piją rumaki z złotych strug,
 gdzie Luvah zmienia konie? Patrzysz na młodość moją
 i czy dlatego, że znikam, oczy się twe tak boją?
 Że nie zostaje nic?.. Dziewico, wierz, odchodząc
 w dziesięć żywotów wejść, w miłość i spokój i świętość.
 Schodząca niewidzialnie wieszam nieważkie skrzydła
 nad wonną twarzą kwiecica, w kąpieli ros jasnoookich,
 by przez tę kąpiel wejść w złociste brzasku namioty: —
 A Marja klęka w łzach, drżąc przed wschodem słońca,
 póki nie zwiąże nas, nie złączy pas pozłoty,
 a wówczas chodzę z nią, wątłe kwiaty karmiąc”.

„Prawdaż to, chmuro? Tedy nam podobieństwa brak,
 bo chodząc w łakach Hara wdycham ich aromaty,
 ale nie karmię kwiatków. I słyszę ptaszkę śpiew,
 ale nie karmię ptaszkę, same znajdują jadło —
 O, nic nie cieszy Thel, bo więdnąc jej przypadło
 i mogę rzec: Promienna, pocóż na świecie żyła,
 czy by po śmierci ciałem robactwo nakarmiła?”

Skłoni się obłok ów z tronu powietrza mówiąc:
*„Jeżeli nawet jesteś tylko robactwa chleb,
 łaska na tobie jest, bo zważ, Panienko nieb:
 Cokolwiek żyje, żyje nietylko sobie... Chodź,
 wezwę robaka z dołów, usłyszysz jego głos...
 Robaku, przybądź z łak, dla tej Królewny trosk...”*

Wypęłził niezdarny robak z ziemi na lilii liść.
 Odplynął jasny obłok, za innym musiał iść.

III

Dziwi się, patrząc, Thel: robak na łożu z ros...

*„Tyś robak? Szczyt bezsily? Naprawdęś robakiem jest?
 Patrzę na ciebie jak na dziecko wtulone w liść.
 Ach, nie łkaj rzewnie wgłos. Mówić nie możesz? Łkasz?
 Nikt cię nie pieści. Tak. I nikt nie otrze łez.
 Tyś robak, widzę to. Bezradnyś jest i nagi.”*

*Wzrusza się gruda ziemi, słysząc robaka płacz,
 nad dzieckiem chyli się, łkającym we łzach ros,
 błogością mleczną życie spłynęło wówczas z niej
 i na postaci Thel łagodny spoczął wzrok.*

*„O, Piękna z dolin Haral! Nie sobie żyjem przecie.
 Wydaje ci się nędzna i takam jest właściwie.
 W mej piersi wieczny chłód i samorodny mrok,
 lecz On, kochanek biednych, namaszcza moją głowę
 i, strojąc w ślubne szarfy, całuje miłościwie:
 Matko mych dzieci — mówi — żem cię pokochał, wiesz.
 Ukoronuję cię, wieńca nie zdejmie nikt...
 Nie wiem, najśłodsza Panno, ani też wiedzieć mi,
 ani nie myśleć o tem, lecz miłość czuję też...”*

*Otarła Córa piękna szat rąbkami gorzkie łzy
 i rzecze: „Nie wiedziałam, dlaczegoś tak płakała.
 Robaka kocha Bóg i złą ukarze stopę,
 która złośliwie depcze bezbronność jego ciała.
 Lecz nie wiedziałam, że balsamy mu podaje.
 Płakałam więc wśród pustek, bo zwiędnąć przyjdzie mi,
 w twe zimne legnąć łóżę, gdy zgaśnie światłość dni...”*

*„Królewno dolin — tak odrzecz matka-ziemia —
 jęki i żale twe lecące wzywam wgłąb.
 Czy wejdiesz? Dane ci wejście i wyjście z lochów.
 Dziewico, zbądź się trwogi, do mego domu wstąp.”*

IV

Okropny strażnik bram północny rygiel wzniosł
i weszła Thel, ujrzała tajemny kraj podziemia.
Widziała zmarłych łoża i że z każdego serca
włóknisty korzeń żądz ku głębiom ziemi rósł.
Ujrzała smutny kraj, w którym uśmiechów niema.
Błądziła w państwie chmur, w królestwie ciemnych dolin,
placząc u mogił wgtos, słuchając skarg niedoli.
I przystawała milcząc, wsłuchana w jęki z głębi,
aż przyszła nad grób własny i siadła nad mogiłą,
a mowę żalu, tchnienie z tej jamy słyszeć było:

„Dlaczego słuch nie głuchnie, aby nie poznał zguby?
Ani się jasne oczy nie mrużą przed uśmiechem?
Dlaczego wieki są pełne śmiertelnych ostrzy?
Tysiące wojowników czyhają tam w zasadzkach,
czy oko darów, deszcz owoców, kute złoto?
Dlaczego język nam pod miodem wiatrów milknie?
Pocóż jest słuch — ten wir, chłonący sieć stworzenia?
Poco są nozdrza? Lęk wdychają rozedrgane...
Poco wędzidła są na pełnym żaru chłopcu?
Nad łóżem naszych marzeń poco jest kotara?“.

Porwała się dziewica i z krzykiem uciekała,
póki jej nie wstrzymały widoki dolin Hara.

LECH NIEMOJEWSKI

CZESŁAW PRZYBYLSKI ARCHITEKT – PROFESOR

Dnia 29 stycznia 1913 r. Teatr Polski otworzył po raz pierwszy swoje podwoje wystawieniem *Irydiona* Krasińskiego. Dwadzieścia trzy lata upłynęły od tej chwili, a jednak wydaje się, iż było to dopiero wczoraj. Na szarym firmamencie ówczesnego życia artystycznego Warszawy dzień ów stanowił epokę. Bez żadnej przesady można twierdzić, iż z chwilą otwarcia nowego teatru społeczeństwo polskie otrzymało nowe kategorie dla swego odczuwania artystycznego. Ówczesny stan teatrów warszawskich przedstawiał się blado. Istniały bowiem tylko trzy teatry dramatyczne, wśród których prym trzymały staroświeckie „Rozmaitości“, oraz walczący z nimi i z niedostatkiem „Teatr Mały“. Poza tem był „Teatr Nowy“, który stanowił „daczę“ dla „Teatru Letniego“. Zresztą oba te teatry były drewniane i pod względem zaopatrzenia technicznego odpowiadały temu poziomowi, na jakim utrzymuje się po dziś dzień „Teatr Letni“. Z „Nowego“ nie pozostało już nawet śladu, zaś na pogorzelisku (gdyż, jak należało się spodziewać, spalił się on przed kilkunastoma laty) wyrósł dzisiejszy „Sim“.

Jedynym gmachem, mającym wówczas prawo do nazwy „świątyni sztuki“, był Teatr Wielki, nieśmiertelne dzieło Corazzi'ego pod względem szaty zewnętrznej, natomiast o wnętrzu również zalatującym myszką... Warszawa garnęła się do teatru. Było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie można było kultywować czystość polskiej mowy i piękno polskiej sztuki. Niestety, życie artystyczne tych placówek rysowało się blado w atmosferze „rządowości“ teatrów. Teatry warszawskie, z wyjątkiem „Małego“, podlegały administracji rządowej. Pomimo więc pewnych wysiłków ze strony aktorów i reżyserów, pomimo najlepszej woli ze strony publiczności, która dawała kredyt moralny wszelkim premierom — teatry warszawskie stanowiły raczej te-

ren zebrzań towarzyskich, aniżeli ognisko prawdziwej sztuki. Dlatego właśnie otwarcie nowego, prywatnego teatru stało się takim ewenementem, którego wszyscy oczekiwali z gorączkową niecierpliwością. Plotka zakulisowa opowiadała niestworzone rzeczy o gmachu, o urządzeniach technicznych, o scenie obrotowej, o prawdziwym deszczu, o fantastycznych efektach świetlnych, o przestronności, o wygodzie... Mówiono wiele o fenomenalnym zespole aktorskim, o repertuarze... Słowem — spodziewano się rzeczy nadzwyczajnych.

Gdy więc nadszedł pamiętny wieczór 29 stycznia, nieprzerwany sznur dorożek ciągnął się ku ul. Oboźnej, przy której wybudowano nowy gmach teatralny. Zewnętrznie budynek przedstawiał się skromnie. Natomiast wewnątrz olśniło publiczność warszawską, przyzwyczajoną do szablonu złocisto-czerwonych draperyj teatrów rządowych. A gdy następnie uniosła się kurtyna i oczom zdumionych widzów ukazało się wyiskrzane „prawdziwymi” gwiazdami niebo — sztywna i zazwyczaj ironiczna warszawska publiczność premierowa rozkrochmaliła się do reszty i... rzecz przedtem w Warszawie nieznana: dała brawo dekoracjom, zanim aktor wypowiedział pierwsze słowa roli. Oklaskiem tym dano wyraz wielkiej radości zebranych, którzy podświadomie wyczuli, że odwróciła się karta w historii dziejów sztuki polskiej.

Nie zdawano sobie wówczas dostatecznie sprawy, wskutek nawału wrażeń, jak wielką rolę w sukcesie pierwszego wieczoru, i długich lat następnie, odegrał budowniczy tego teatru, architekt Czesław Przybylski, zupełnie młody wówczas człowiek, nikomu nieznany, później, po latach, zasłużony i niezastąpiony profesor Politechniki Warszawskiej. Nie należy sądzić, iż entuzjazm premierowej publiczności był słomianym ogniem znanej ze zmiennych gustów Warszawy. Nie, wieczór 29 stycznia 1913 r. istotnie zapoczątkował nową epokę w dziejach sztuki polskiej. Pominąwszy fakt, iż *Irydjon* poszedł 41 razy z rzędu, wypełniając co wieczór widownię teatru po brzegi — gmach teatru Polskiego stał się w krótkim przeciągu czasu miejscem spotkań tych wszystkich, którzy pragnęli uchodzić za ludzi... kulturalnych. Aczkolwiek publiczność przychodziła dla sztuk, wystawianych w teatrze, to jednak bezwiednie ulegała czarowi wnętrza, które nawet dzisiaj, po dwudziestu trzech latach, nie straciło nic ze swego uroku, pomimo iż w przeciągu ostatniego ćwierćwiecza wymagania publiczności wzrosły niepomrotnie — ale nawet nabrało patyny i tradycji.

Wydawało mi się, iż najwłaściwiej będzie rozpocząć artykuł, poświęcony sztuce architektonicznej Czesława Przybylskiego, tem właśnie wspomnieniem. Kieruje ono bowiem naszą uwagę w sedno talentu tego wielkiego artysty. Młody, zaledwie 33 lata liczący, nikomu nieznany architekt, nie legitymujący się żadnym poważnym dorobkiem artystycznym, zabłysnął od

pierwszego uderzenia meteorem wspaniałego talentu. Nie wolno bowiem zapominać, że rok 1913 był wyjątkowo niepomyślny dla wszelkich debiutów architektonicznych. Czasy owe, to okres wykluwania się zaledwie pewnych nowych poglądów, nieśmiało zrywających z ekspresjonizmem nadmiernie wybujałej secesji. Prawda, secesja ówczesna mocno się już różniła od secesji z początku stulecia, była „zmodernizowana“, niemniej jednak wszystko, co się ówczesznie budowało, nosiło piętno przemijającej mody i po kilku już latach stawało się całkowicie niestrawne. Przybylski, od pierwszej do ostatniej chwili swego życia zawodowego, miał oczy bacznie skierowane przed siebie. Uczył się ciągle, ale jeżeli w latach późniejszych służyło mu pomocą długoletnie doświadczenie, o tyle w tym pierwszym wypadku, kiedy doświadczenia żadnego nie posiadał, zastąpić je musiała — niezawodna, jak się dzisiaj po latach przekonujemy — intuicja.

Istotnie, najbardziej pedantyczny krytyk musi przyznać, iż gmach Teatru Polskiego wytrzymał najniebezpieczniejszą próbę, próbę drugiego pokolenia. Wiele dzieł sztuki, a więc i architektury, przeżyć musi zmienne koleje powodzenia. Początkowo witane entuzjastycznie, w latach następnych blakną, w najlepszym razie nabierają „myszki“ i dopiero w czwartej fazie ich wartości istotne, jeśli były, wydostają się na wierzch i rzecz nabiera „stylu“. Teatr Polski nie miał dotychczas ani jednego „złego“ dnia. Nie zbladł, nie chwycił „myszki“, pomimo że od czasu jego wybudowania dwukrotnie zmieniło się nastawienie ideowe w architekturze. Najpierw, niemal natychmiast po wybudowaniu tego gmachu, w pierwszych latach wojny światowej, poszła przez nasz kraj fala stylowości z przewagą sentymentu dla „polskiego“ baroku, a następnie, mniej więcej od lat dziesięciu, wzmaga się coraz bardziej fala modernizmu, posiadającego ortodoksyjnych nieraz zwolenników zarówno wśród architektów młodszego, jak i starszego pokolenia. Mimo to nie spotkałem się nigdy, choć starannie śledzę głosy krytyki, ani razu z głosem krytycznym o tym budynku.

Gdy nagły zgon przerwał żywotną i nadzwyczaj wydajną działalność prof. Czesława Przybylskiego, zwracamy się ponownie ku jego pierwszemu dziełu i z podziwem badamy, szczegół po szczególe, fragmenty tego niezwykłego dzieła. Niezwykłego? Tak, gdyż zadziwia nas ono dojrzałością myśli, zdecydowaniem gestu człowieka, który — nie rozporządzając ani zapasem doświadczenia, ani bogactwem środków materialnych — zmuszony do pracy szybkiej, decydował się od razu i nie zrobił nic, co chciałoby się później zmienić lub usunąć. Tem pierwszym swoim dziełem Czesław Przybylski zajął od razu miejsce wśród najpierwszych i najbardziej zasłużonych architektów polskich dzisiejszej doby.

Teatr Polski nie jest bynajmniej odosobnionem dziełem prof. Przybyl-

skiego. Wybudował nadto wiele teatrów i wiele innych gmachów. Należał bowiem do najczynniejszych i najpłodniejszych architektów. Jeżeli jednak tak szeroko rozpisałem się o Teatrze Polskim — to dlatego, że pragnąłem zwrócić przede wszystkim uwagę na znaczenie, na rolę, jaką odegrał on w dziejach rozwoju życia artystycznego początkowo stolicy, a następnie i całego kraju.

Gmach Teatru Polskiego stał się słupem milowym w dziejach rozwoju polskiej myśli architektonicznej. Od niego liczy się i liczyć będzie, jak mnie mam, lata istnienia „szkoły warszawskiej“ w architekturze, tak jak od Wyspiańskiego liczymy lata istnienia szkoły „krakowskiej“. Gdy w kilka lat później, już w niepodległej Polsce, zaofiarowano Przybylskiemu katedrę projektowania monumentalnego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, praca jego i dzieło znalazły mocny grunt dla dalszego rozwoju. W krótkim czasie skupiło się wokół niego szereg przyszłych „gwiazd“ młodszej generacji, rozkwitających bardzo szybko w przyjaznej, gorącej atmosferze jego pracowni. Dzisiaj, pomimo przedwczesnej śmierci profesora, szereg jego uczniów zdobyło sławę i zajmują samodzielne katedry w Politechnice i Akademii Sztuk Pięknych.

Czesław Przybylski szedł własną drogą, posiadając umysł żywy i świeży, łatwo nawiązujący kontakt z mentalnością zachodnio - europejską, — znajdował się, w każdej chwili swej twórczości, na poziomie wieku. Jednak w stosunku do architektury obcej zachował całkowitą niezależność, nie pozbawioną krytycyzmu. To sprawiło, że pewne koła radykalniej myślące skłonne były uważać go za człowieka „wczorajszego“; jednakże pogląd ten nie znajdował uzasadnienia w działalności Przybylskiego. Prawda, dzieła jego cechuje znaczna nieraz amplituda odchyień. Od całkowitej niemal stylowości interpretowanych elewacji Ministerstwa Spraw Wojskowych przesuwa się do „rotterdamskiego chaosu“ asymetrycznej formy Instytutu Badań Chemicznych Politechniki Warszawskiej. Ale to niczego nie dowodzi. Przybylski był profesorem i jako profesor odznaczał się tem, czem powinien się odznaczać dobry profesor. Lubił badać, studjować, eksperymentować.

Szukał. Czasem bezskutecznie, czasem owocnie. Ale to nie jest grzechem. Daleko większym grzechem byłoby, gdyby wznosząc „pewniaki“ architektoniczne, doprowadził swój umysł do skostnienia, a uczniów do maniery. Rzecz prosta, iż system twórczy przyjęty przez Przybylskiego nie należał do bezpiecznych. Eksperyment w architekturze jest zawsze bardzo niebezpieczny. To nie obraz czy rzeźba, które w razie fiaska można, acz z bólem serca, wyrzucić precz. Gmach kosztuje drogo i jak raz stanie, to stać musi. Niemniej, szukać trzeba i szukać powinni właśnie ludzie tacy jak Przybylski.

Stoimy zbyt blisko dzieła Przybylskiego, żeby już dzisiaj oceniać je właściwie, bez jadu i bez kadzidła. Wydanie sądu jest tem trudniejsze, że nie dane mu było dożyć realizacji dzieła, w którym pokładał swe najżywsze nadzieje: Centralnego Dworca linii średnicowej. Gmach ten, sądząc z modelu, znajdującego się w Muzeum Kolejowem, miał się stać tem dla drugiego okresu twórczości profesora, czem dla jego pierwszych kroków był Teatr Polski. Miał dać wyraz niezwyklej żywotności siły twórczej artysty.

Należy żywić nadzieję, że w dalszej fazie realizacji tego dzieła, do którego zmarły profesor pozostawił wszystkie rysunki, nic nie zostanie zmienione w jego architektonicznej koncepcji. W przeciwnym bowiem razie mielibyśmy raz jeszcze możność przekonać się o tragicznem *memento*, wiszącem nad naszym zawodem. Ze wszystkich gałęzi sztuki, architektura, zwana niekiedy matką sztuk, najbardziej jest skrupowana. Żaden z artystów nie jest, nawet w części, tak uzależniony od czynników zewnętrznych, jak architekt. Poeta, malarz, muzyk tworzą tak jak chcą. Nikt nie jest w stanie wypaczyć, sponiewierać ich dzieła. Pozostaje ono, czasem niezrozumiałe, niedocenione, zapoznane, ale nietknięte. Rembrandt umarł w nędzy, ponieważ talent jego i dzieła wzbily się ponad poklask współczesnego mu tłumu. Dzisiaj, gdy osąd artystyczny dorósł do miary mistrza, obrazy malowane przez nędzarza, który nie miał czasem na kawałek chleba, płacone są na wagę złota. Czcimy więc Rembrandta podwójnie: za wspaniałe dzieło i niezłomny charakter. Nie zniżył sztandaru i z podniesionem czołem oczekiwał głodowej śmierci.

Zaiste, godny zazdrości. Podobne przykłady możemy przytoczyć z życia muzyków i poetów, którzy naprzekór wrogim okolicznościom stwarzali arcydzieła, będące dzisiaj pomnikami kultury. Czyż architekt może dążyć drogą podobną? Nie! Projekt, chociażby najciekawszy, jest jednak dopiero i tylko projektem. Historia wskazuje mnóstwo przykładów, że właśnie dzieła pomyślane na miarę najwyższą nie doczekały się realizacji, bo wszak realizacja dzieła architektury związana jest zawsze z uruchomieniem poważniejszych kapitałów, które aż nazbyt często zamykają się właśnie wtedy, gdy po winny szczerze się otwierać.

Podobnie rzecz się przedstawia z dorobkiem architektonicznym Czesława Przybylskiego. Brzmi to niemal paradoksalnie w stosunku do architekta, który wybudował tak wiele. Ale mimo tej owocnej pracy, fatalność losu sprawiła, że te najlepsze, najkapitałniejsze dzieła porastają pyłem archiwalnym i niedługo pójdą w całkowite zapomnienie. Jakież to dzieła? Niedoceniony przez sąd konkursowy projekt Katedry w Katowicach, tak zwany „pierwszy projekt“ Centralnego Archiwum Państwowego w Warszawie, którego dalsze koleje nie są mi znane — wiadomo tylko, że pod naciskiem czynników zainteresowanych był przygotowany następnie projekt drugi, już zała-

many w stosunku do pierwotnej, śmiałej i przejrzystej koncepcji. Poszedł także „ad acta” doskonały projekt domu reprezentacyjnego dla magistratu łódzkiego. Nie ujrzał światła dziennego doskonały projekt teatru w Łodzi. Dzięki tym smutnym okolicznościom, ocena dorobku architektonicznego prof. Przybylskiego nie może być sprawiedliwa.

Przybylski był artystą pełnym temperamentu, pracującym „na gorąco”, oceniającym wartość już nie dzieł, ale wręcz tematów. Tak wytrawny jak on architekt zdawał sobie sprawę, że nie każdy temat daje odpowiednie ujęcie dla temperamentu artystycznego. Każdy posiada dni świąteczne i powszednie swojej pracy. Ale gdy dzień świąteczny tracimy, wówczas powszedniość tembardziej szarzeje i zniechęca. Przybylski, przeznaczony mocą talentu do zadań największych, musiał z konieczności zużywać się na mnóstwo tematów mniej ważnych, które szły rutyną i nie dawały mu zadowolenia. Że w rezultacie pozostawił dorobek poważny i żal serdeczny zarówno wśród kolegów i uczniów, jak i wśród tych, na których zlecenie wykonywał swe prace — to zawdzięczał niepospolitości swych walorów osobistych; ale niemniej staje się dla nas jasne, że wskutek wyraźnie nieprzyjaznych okoliczności, jakie prześladowały tego wielkiego artystę, nie zdołał on nawet w części ujawnić swych znakomitych kwalifikacyj, których tak wspomniały zadatek pozostawił w „niespełnionych marzeniach i niewyśnionych snach” rysunków i projektów.

JAN BRZĘKOWSKI

ŻYCIE POLITYCZNE FRANCJI W OSTATNIEM CZTEROLECIU

Napięcia dynamiczne sił istniejących w polu działania wewnętrznej polityki francuskiej uległy tak radykalnym przemianom w ciągu ostatnich dwóch lat, że niełatwo byłoby dziś określić dokładną wartość tych elementów, które posiadają istotne znaczenie w życiu politycznym obecnej Francji. Jest to w znacznej mierze wynikiem przesunięcia się punktu ciężkości samego zagadnienia, które nie jest już ograniczone wyłącznie do parlamentu, lecz obejmuje również inne dziedziny życia społecznego i politycznego. Coraz mocniej bowiem w ciągu ostatnich lat przychodziły do głosu siły ekstra-parlamentarne, takie jak „Croix de Feu“ lub „front chłopski“, czy w pewnej mierze i „front ludowy“.

Wybory z r. 1932 rozgrywały się pod znakiem walki pomiędzy prawicą t. zw. „kartelem lewicy“, który — praktycznie rzecz biorąc — polegał właściwie na współpracy socjalistów z radykałami. Kartel wprowadził zwyciężył, ale nie zdołał utrzymać się na terenie parlamentarnym wskutek bezkompromisowego stanowiska partii socjalistycznej S. F. I. O., która nie chciała brać udziału w rządach. W ten sposób aż do lutego 1934 r. Francja miała rządy, oparte na mniejszości parlamentarnej, które korzystały jedynie z t. zw. „prejugé favorable“ ze strony socjalistów. Wydarzenia z 6 lutego doprowadziły do władzy rząd Doumergue'a, który, nie mogąc uzyskać współpracy socjalistów, utworzył gabinet „rozejmu partyjnego“ na zasadzie formuły, stojącej na pograniczu „jedności narodowej“ i „koncentracji republikańskiej“. Rządy Flandina i Laval'a oparte były na analogicznej formule. Dopiero gabinet Sarraut nabrał nieco więcej lewicowego zabarwienia, ale nietyło wskutek swego składu, ile z powodu charakteru popierającej go większości parlamentarnej.

Dwa zwalczające się bloki w czasie wyborów w r. 1932 zdołały skupić następującą ilość głosów: partje zachowawcze i „umiarkowane“ (t.j. prawica i prawe centrum) — 3.424.727 głosów, lewica (t. j. komuniści, pupiści, socjaliści S. F. I. O., niezależni socjaliści i radykali) — 5.191.653 gł. Poza tem, w myśl oficjalnej statystyki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, 955.990 gł. uzyskali „niezależni radykali“, z czego przynajmniej połowę należałoby zapisać na konto prawego centrum. To przesunięcie głosów, jakie się dokonało w ciągu czteroletniego okresu między 1928 — 1932, nadało nowej Izbie zdecydowanie lewicowe oblicze.

Zastanówmy się nieco nad układem sił w Izbie, wyłonionej po wyborach z r. 1932. Lewica ma w niej zdecydowaną przewagę nad prawicą i centrum; ugrupowania lewicowe zdołały skupić ok. 350 mandatów na ogólną cyfrę 617. Stosunek sił poszczególnych ugrupowań lewicowych przedstawiał się jak następuje: komuniści — 10 mandatów; „pupiści“ (Parti de l'unité ouvrière) — 9; socjaliści S. F. I. O. (Section Française de l'Internationale Ouvrière) — 129; niezależni socjaliści (t. j. socialistes français i republicains socialistes) — 29; radykali (Parti republicain, radical et radical-socialiste) — 160; razem: 337.

Prawica była rozproszkowana na szereg drobnych ugrupowań. Największe znaczenie posiadała „Federacja Republikańska“ (grupa Marina — 38 deputowanych), niezależni prawicy (14 deputowanych) i centrum republikańskie (grupa Tardieu) — 35 mandatów. Centrum republikańskie miało już właściwie charakter prawego centrum, gdyż powstało ono przez oderwanie się po wyborach z r. 1932 prawego skrzydła grupy „republikanów lewicy“. Jeśli do wymienionych już ugrupowań doda się jeszcze szereg drobnych grup i wielu niezależnych deputowanych, to siły prawicy w Izbie z r. 1932 możnaby określić na 120 — 130 deputowanych.

W centrum znajduje się szereg ugrupowań, których nastawienie polityczne ma mniej lub więcej prawe, względnie lewe zabarwienie. Zresztą — pewne grupy modyfikowały niejednokrotnie swe stanowisko w wyniku chwilowych okoliczności politycznych, decydując się na zbliżenie do prawicy lub do lewicy. Do najważniejszych grup centrowych należą: republikanie lewicy — 29 mandatów, lewica radykalna — 49, demokraci ludowi — 16, niezależni lewicy — 22; razem: 116.

Te cyfry wskazują na trudność arytmetycznego rozwiązania problemu większości parlamentarnej w chwili, gdy socjaliści postanowili nie brać udziału w rządzie. Lewica rozporządzała wprawdzie większością w Izbie 1932 — 36, ale wobec stanowiska socjalistów możliwy był tylko rząd koalicyjny radykałów z partjami centrowymi aż po republikanów lewicy, czyli t. zw. w języku parlamentarnym formuła „koncentracji republikańskiej“.

Formuła „kartelu lewicy“, t. j. współpracy radykałów z socjalistami, pod której znakiem odbyły się wybory, okazała się na terenie parlamentarnym nie do utrzymania. Z drugiej strony — radykali, którzy w wielu wypadkach korzystali przy wyborach z głosów socjalistycznych, byli zdecydowanie przeciwni formule „unji narodowej“, t. j. rządu idącego od radykałów aż po federację republikańską włącznie. Jednak nawet formuła „koncentracji republikańskiej“ budziła poważne zastrzeżenia wśród członków lewego skrzydła partii radykalnej; wskutek tego musiano się zdecydować na utworzenie rządów czysto radykalnych przy współpracy jedynie dwóch ugrupowań sąsiadujących z radykałami na ich lewym i prawym skrzydle. Tego rodzaju charakter miały gabinety Herriota, Paul-Boncoura, Daladiera i Chautempsa, które opierały się na mniejszości w Izbie. Korzystały one zasadniczo z życiwej neutralności socjalistów S. F. I. O., a w momentach wyjątkowych starały się uzyskać t. zw. „majorité de rechange“ w centrum i na prawicy, podczas gdy socjaliści powstrzymywali się wtedy od głosowania, względnie nawet głosowali przeciw rządowi. Tego rodzaju większość była zawsze trudna do sklecenia i niejednokrotnie zależała od atmosfery posiedzenia, wytwarzając się dopiero w ostatnim momencie. Wywoływało to słabość rządów i częste przesilenia gabinetowe, a także tarcia pomiędzy socjalistami i radykałami, którzy żywili urazę do grupy socjalistycznej S. F. I. O. z powodu jej negatywnego ustosunkowania się do udziału w rządzie. Ten „problem partycypacji“ dominował przez długi okres czasu nad całym życiem politycznym lewicy francuskiej, wywołując fermenty i pierwsze przegrupowania sił.

L e w i c a. a) *Socjaliści.* W grupie socjalistycznej S. F. I. O. istniały jednak poważne tendencje „partycypacjonistyczne“. Z biegiem czasu doprowadziło to do wytworzenia się w łonie grupy trzech odcieni: 1) bezwzględnych przeciwników udziału w rządach koalicyjnych z radykałami, czyli t. zw. „twardych“, do których się zaliczało ok. 70 deputowanych z leaderem partii Blumem, sekretarzem generalnym partii Paul Faurem i sekretarzem grupy parlamentarnej Vincent-Auriolem na czele; 2) otwartych zwolenników udziału w rządzie, czyli t. zw. popularnie „miękkich“, których było ok. 30, i 3) niezdecydowanych, czyli t. zw. „attentystów“, których było również ok. 30. „Twardzi“ słuchali bezwzględnie dyrektyw Bluma i byli podtrzymywani przez skrajne elementy partii, skupione w federacji socjalistycznej departamentu Sekwany, w której dominującą rolę odgrywali Zyromski i Marceau-Pivert. Wśród „partycypacjonistów“ na czoło wysuwali się Renaudel, Marquet, Déat i Montagnon. Pierwszoplanową postacią wśród „attentystów“ był Frossard.

Każde przesilenie gabinetowe, każdy kongres partii dostarczał sposobności do ścierania się tych poglądów. W czasie tych dyskusyj zaczęła się wykrystalizowywać nowa doktryna, którą później zaczęto określać w prasie

mianem neosocjalizmu. Neosocjaliści starali się wyciągnąć pewne wnioski z ostatnich wydarzeń politycznych w innych państwach, w szczególności we Włoszech i w Niemczech, i usiłowali przystosować do nich zasady marksizmu. Pragnęli oni, w pierwszym rządzie, wzmocnienia autorytetu władzy wykonawczej, domagali się uznania przez socjalizm pewnych konieczności państwowo-narodowych, a zwłaszcza konieczności zapewnienia obrony państwa. Tezy neosocjalistyczne w sprawie rządów autorytatywnych ściągnęły na nich ze strony ortodoksyjnych marksistów zarzut faszyzmu; istotnie: tezy Marqueta, Déata i Montagnona, usiłujące wyciągnąć wnioski z przyjscia do władzy ustroju faszystowskiego we Włoszech i narodowo-socjalistycznego w Niemczech, miały w pewnym momencie tendencje, które — w razie ich dalszego rozwijania się — mogłyby doprowadzić do wytworzenia doktryny, pozostającej pod zdecydowanymi wpływami faszyzmu. Nic więc dziwnego, że musiał nastąpić rozłam, naskutek którego grupka złożona z ok. 30 parlamentarzystów opuściła partję socjalistyczną S. F. I. O., zakładając nowe ugrupowanie — „Socjalistyczną Partję Francji“, która powoływała się na Jaurès'a jako na swego ojca duchowego.

Ewolucja doktrynalna neosocjalizmu nie poszła jednak dalej w tym samym kierunku. Stało się tak w znacznej mierze dlatego, że jednocześnie z „młodymi“: Déatem, Montagnonem i Marquetem, wystąpił z partji S.F.I.O. stary działacz socjalistyczny Renaudel. Drugim momentem hamującym było przyjęcie przez dep. Marqueta portfeli w rządzie Doumergue'a, Marquet zaś był wśród neosocjalistów głównym propagatorem idei rządów autorytatywnych. Ustąpienie Marqueta („partycypacjonizm“ tego deputowanego spowodował wykluczenie go z nowej partji) pozwoliło Déatowi, który objął właściwe kierownictwo grupą, na ustabilizowanie doktryny partyjnej i powstrzymanie ewolucji na prawo. Ten fakt wywołał z kolei zbliżenie się do dwóch innych niezależnych ugrupowań socjalistycznych, mianowicie do socjalistów francuskich i republikańców-socjalistów. Doprowadziło to wreszcie, mniej więcej na pół roku przed wyborami, do połączenia się tych trzech grup w „Unję socjalistyczną“. Tymczasem grupa socjalistyczna S. F. I. O., po wystąpieniu neosocjalistów, zaczęła stopniowo odzyskiwać zachwianą chwilowo równowagę. Rozdźwięk pomiędzy większością grupy a „attentystami“ powoli się zatarł; znikł on zupełnie po indywidualnym wystąpieniu z partji przywódcy „attentystów“ dep. Frossarda, który przyjął tekę w gabinecie Laval'a. W ten sposób partja socjalistyczna S. F. I. O. powróciła do dawnej zwartości i homogeniczności.

b) *Radykali*. Sprawa „partycypacjonizmu“ wywołała zamęt nie tylko w partji socjalistycznej S. F. I. O.: przez dłuższy okres czasu wydawało się, że rozłam zagraża również partji radykalnej, gdzie lewe skrzydło, czyli t. zw. przez prasę prawicową „młodoturcy“, coraz energiczniej buntowało się prze-

ciw linii politycznej, wytkniętej przez Herriota. Na kongresach partji radykalnej uchwalano wprowadzić bezbarwne i kompromisowe rezolucje (t. zw. „nègre-blanc”), lecz było to jedynie wynikiem ogromnych wysiłków, rozwijanych przez przyjaciół Herriota w celu utrzymania jedności partji. Każdej tego rodzaju rezolucji towarzyszyło zmniejszanie się wpływów i osobistego autorytetu Herriota; zaczęło się to szczególnie silnie zaznaczać od czasu, gdy partja radykalna wzięła udział w gabinecie Doumergue’a. Lewe skrzydło radykałów było zdecydowanie przeciwne współpracy z prawicą; wytwarzało to ustawiczne tarcia, które z coraz większym trudem udawało się Herriotowi opanowywać. Wreszcie, naskutek nacisku „młodych radykałów“, Herriot zmuszony został do wywołania przesilenia gabinetowego: w ten sposób upadł rząd Doumergue’a i rząd Laval’a. Obalenie Laval’a zostało jednak poprzedzone usunięciem się Herriota ze stanowiska prezesa partji, które objął przedstawiciel lewego skrzydła, b. premier Daladier; w ten sposób partja radykalna zdołała jednak, pomimo ustawicznych fermentów wewnętrznych, uniknąć rozłamu który jej zagrażał. Secesja Cudeneta, który wraz z kilkunastu swymi zwolennikami założył „partję radykalną Kamila Pelletana“, nie miała większego znaczenia politycznego; nie zmniejszyła ona zresztą efektywów partji radykalnej w parlamencie ani o jednego deputowanego. W ten sposób — mimo ogromnych różnic, dzielących lewe skrzydło partji radykalnej od prawego, które przejawiały się w toku ostatniej kadencji w zasadniczych kwestiach związanych z polityką wewnętrzną, finansową i gospodarczą — partja radykalna zdołała utrzymać swą jedność. W znacznej mierze było to jednak wynikiem wyłonienia się nowej koncepcji, która zgalwanizowała wszystkie ugrupowania lewicowe, mianowicie koncepcji „frontu ludowego“.

c) *Front ludowy*. Wbrew temu, co się naogół mówi i pisze, autorami koncepcji „frontu ludowego“ nie są komuniści. Z pierwszą tego rodzaju inicjatywą wystąpił bowiem secesjonista z partji radykalnej, b. dep. Bergéry, który głosił konieczność utworzenia lokalnych, defensywnych organizacyj bojowych lewicy pod nazwą „wspólnego frontu“ (*Front commun*). Trzeba przyznać, że inicjatywa Bergéry’ego trafiła na grunt podatny, gdyż rozrastanie się po 6 lutego 1934 r. ruchu „Croix de Feu“ oraz faszyzujących organizacyj „Jeunesses Patriotes“ i „Solidarité française“ zaczęło budzić w łonie lewicy francuskiej coraz to większe obawy. W partji socjalistycznej istniały zawsze silne tendencje, opowiadające się za powrotem do „jedności organicznej“ ruchu robotniczego, jaka istniała przed kongresem w Tours (w r. 1920), t. j. przed secesją komunistów. „Wspólny front“ Bergéry’ego nie miał jednak pretensyj do wytworzenia wielkiego ruchu całej lewicy; miał on raczej czysto praktyczne, defensywne zadania, które wyrażały się w rozbijaniu zebrań prawicowych przy pomocy specjalnie organizowanych lewicowych bojówek międzypartyjnych.

Rewolucyjny występ formacyj bojowych „wspólnego frontu“ w Mantes zraził jednak do Bergéry'ego bardziej zachowawcze elementy w jego własnym okręgu. Bergéry przekonał się o tem w chwili, gdy, pragnąc rozszerzyć zadania „wspólnego frontu“ przez nadanie mu charakteru jednolitej akcji całej lewicy przeciw faszyzmowi, złożył swój mandat do parlamentu, stając ponownie do wyborów pod hasłem „wspólnego frontu lewicy“: spodziewał się on, że w ten sposób wybory w Mantes nabiorą charakteru symbolicznego oświadczenia się całego kraju na rzecz jego koncepcji. Skończyły się one jednak fiaskiem: Bergéry przepadł; od tego czasu zaczyna się też zmierzch wpływów „wspólnego frontu“, który połączył się później z „trzecią siłą“, wyłonioną przez ludzi skupionych wokół miesięcznika *Esprit*, we wspólną organizację pod nazwą „frontu społecznego“ (*Front social*). Idee Bergéry'ego znalazły jednak pewien oddźwięk na skrajnej lewicy. Pod wpływem tych koncepcyj deputowany komunistyczny Doriot, mer miasta St.-Denis, wystąpił z inicjatywą utworzenia wspólnego frontu socjalistów i komunistów; za tę koncepcję partja komunistyczna wykluczyła go ze swego grona. Doriot jednak nie zrezygnował i poddał swe stanowisko plebiscytowi wyborców przez zrzeczenie się stanowiska mera miasta St.-Denis i ponowne staniecie do wyborów; okazał się w tem szczęśliwszy od Bergéry'ego, gdyż odniósł duży sukces i został wybrany wraz z całą swą listą.

W rok później koncepcje Bergéry'ego i Doriota podjęli sami komuniści wskutek dyrektyw III Międzynarodówki, zaniepokojonej postępami ugrupowań faszystowskich we Francji. Wtedy komuniści wystąpili z inicjatywą „frontu ludowego“, która jednak miała szerszy charakter, niż projekty „wspólnego frontu“ Bergéry'ego. Koncepcja „frontu ludowego“ dążyła bowiem do wytworzenia wspólnej postawy wobec faszyzmu nie tylko lewicowych partyj politycznych, lecz także i organizacyj zawodowych, takich jak Generalna Konfederacja Pracy, stowarzyszenia b. kombatanów i in. Był to zresztą okres, gdy wszystkie wielkie organizacje, pod wpływem planu de Manna i sowieckiego planu pięcioletniego, występowały z własnymi planami akcji na najbliższą przyszłość. W ten sposób istniały więc plany: Generalnej Konfederacji Pracy, Konfederacji Narodowej b. kombatanów, plan ekonomiczny Roche'a, przyjęty przez partję radykalną, i in. Ten „planizm“ ułatwiał niewątpliwie skupienie rozproszonych sił lewicowych i wciągnięcie organizacyj zawodowych i b. kombatanów do akcji politycznej. Dlatego też idea „frontu ludowego“, która była ideą polityczną, ale jednak ponadpartyjną, spotkała się z życzliwym przyjęciem wszystkich ugrupowań i organizacyj lewicowych, a zwłaszcza socjalistów i lewego skrzydła partji radykalnej. W ten sposób doszło do utworzenia „frontu ludowego“, który odgrywał rolę elementu koordynującego akcję różnych ugrupowań lewicowych. Punktem

kulminacyjnym tej akcji była wielka manifestacja antyfaszystowska dn. 14 lipca 1934, w której wzięło udział ok. pół miliona osób.

„Front ludowy“ nie zdołał się jednak wyrazić we wspólnej akcji wyborczej: do wyborów lewica poszła oddzielnie — jedynie z zaleceniem, by w głosowaniu „balotażowym“ popierać tego kandydata antyfaszystowskiego, który ma największe szanse. Proces rozluźniania się „frontu ludowego“ rozpoczął się zresztą już na kilka miesięcy przed datą wyborów; pierwsze hasło do tego dało wskrzeszenie dawnych rywalizacji między socjalistami i komunistami. Socjaliści pragnęli bowiem „odegrać się“ i utrzymać swe zagrożone przez komunistów pozycje, przeciwstawiając się partii komunistycznej na terenie polityki zagranicznej. Słynna deklaracja Stalina, uczyniona w czasie podróży Lawała do Moskwy, a wypowiadająca się na rzecz silnej armii francuskiej, wywołała konsternację wśród komunistów francuskich, którzy do tychczas aktywnie szerzyli propagandę antimilitarystyczną. Pomimo tego socjaliści pragnęli jednak utrzymania frontu ludowego przy wyborach; sprzeciwy wyszły od partii radykalnej i od komunistów — radykali stracili bowiem entuzjazm dla wspólnej akcji wyborczej od momentu, gdy partje skrajnie lewicowe dały do zrozumienia, że byłyby za stosowaniem wspólnego frontu dopiero przy głosowaniu „balotażowym“; komuniści zaś pragnęli skorzystać z nadarzającej się sposobności do powiększenia swych efektów w Izbie. W ten sposób formuła „frontu ludowego“ nie została przeniesiona na teren wyborczy.

Przegrupowania, jakie nastąpiły na lewicy francuskiej w okresie 1934—36, nie doprowadziły więc do wytworzenia trwałego organizmu koordynującego jej akcję. O ile kartel wyborczy z r. 1932 nie przetrwał na terenie parlamentarnym i rządowym, o tyle „front ludowy“ nie zdołał nawet zapewnić jednolitej akcji lewicy w czasie wyborów w r. 1936. Niemniej jednak „front ludowy“ wytworzył pomyślne warunki do zbliżenia grup lewicowych na terenie przyszłego parlamentu.

d) *Związki zawodowe.* Tendencje analogiczne do tych, jakie przyczyniły się do wytworzenia „frontu ludowego“ na płaszczyźnie partyjno-politycznej, działały jednak również na terenie związków zawodowych: „Unitarna Konfederacja Generalna Pracy“ (C. G. T. U.), grupująca elementy komunistyczne, wystąpiła z inicjatywą zjednoczenia ruchu zawodowego przez połączenie się z „Generalną Konfederacją Pracy“ (C. G. T.). Kierownicy tej ostatniej organizacji, stojącej na gruncie czysto zawodowym, pragnęli ją utrzymać zdala od akcji partyjnych politycznych i dlatego propozycja C. G. T. U. została najpierw przyjęta bez entuzjazmu; później jednak — wskutek nacisku mas robotniczych, wywołanego ideą „frontu ludowego“ i akcji antyfaszystowskiej — doszło po długich pertraktacjach do połączenia się oby-

dwóch organizacyj. W ten sposób koncepcja „frontu ludowego“ została urzeczywistniona również i na terenie związków zawodowych.

P r a w i c a. e) *Ugrupowania parlamentarne.* Ugrupowania prawicowe na terenie parlamentu nie przeszły tak wielkiej ewolucji w ciągu ostatnich czterech lat, jak lewica. Było to przede wszystkim wynikiem dwóch czynników: 1) Stanowisko partyj prawicowych było o wiele mniej skomplikowane, znajdowały się one bowiem przeważnie w opozycji, a gdy im proponowano udział w rządzie — nie miały powodów do odmowy. Trudna sytuacja wytworzyła się dopiero po obaleniu rządu Laval'a, w chwili formowania się gabinetu Sarrauta. 2) Prawica francuska nigdy nie była tak zorganizowana jak lewica. Nigdy też parlamentarzystów prawicowych nie obowiązywała tak ścisła dyscyplina, jak na lewicy. Niemniej jednak, w łonie ugrupowań prawicowych i centrowych istniały pewne fermenty. Były one przede wszystkim wynikiem niezadowolenia z akcji leaderów. Tak więc działalność Marina budziła niezadowolenie wśród młodych deputowanych, wchodzących w skład tego ugrupowania — podobnie jak przyjęcie przez Flandina teki ministra spraw zagranicznych w gabinecie Sarraut wywołało mocną reakcję ze strony wielu parlamentarzystów, należących do grupy republikanów lewicy i centrum republikańskiego. Fermenty te miały jednak raczej wewnętrzne znaczenie i właściwie pozbawione były charakteru doktrynalnego. Prawica francuska nie miała, po odsunięciu się Tardieu, odpowiednich ludzi, którzy mogliby spełniać rolę przywódców i galwanizować jej szeregi; kilku zdolnych mówców z Paul-Reynaudem, Franklin-Bouillonem, Taittingerem i Henriotem na czele godnie podtrzymywało tradycję opozycji. Prawica nie przejawiała jednak na terenie parlamentarnym większej aktywności. Utworzenie przez Franklin-Bouillona grupy, skupiającej prawicowe elementy republikańskie, nie dało oczekiwanych rezultatów; dlatego też aktywne jednostki prawicowe działały przede wszystkim poza parlamentem. W ten sposób zostały ożywione różne organizacje b. kombatanów i „ligi faszystowskie“.

f) *„Croix de Feu“.* Główne nadzieje prawicy po 6 lutego zaczęły się zwracać ku organizacji „Croix de Feu“, której szeregi zaczęły odtąd gwałtownie wzrastać. Przywódca tej organizacji b. kombatanów, płk. de la Rocque, utworzył równoległe z „Croix de Feu“ stowarzyszenie „wolontariuszów narodowych“, grupując w niem młodzież i te elementy starszego pokolenia, które nie miały praw do tytułu b. kombatanów. W ten sposób, dzięki energicznej propagandzie i niewiązaniu się z żadną inną prawicową organizacją, ruch „Croix de Feu“ zdołał skupić ok. 700.000 osób. Była to potężna siła, która wywoływała duże zaniepokojenie na lewicy — tem większe, że płk. de la Rocque niedość jasno sprecyzował swój program, ograniczając się w zakresie ustrojowym do dość nieokreślonych formuł i akcji przeciw parlamentowi. Dlatego ataki grup lewicowych i „frontu ludowego“ zwracały się przede-

wszystkiem przeciw „Croix de Feu”: lewica starała się więc rozbijać zebrania tej organizacji; merowie „czerwonego pasa” otaczającego Paryż zorganizowali specjalne pogotowie, które działało w razie „prowokacyj Croix de Feu”. Ataki lewicy były tem ostrzejsze, że „Croix de Feu” byli świetnie zorganizowani i zmotoryzowani jak nowoczesna armja. Jednak, dzięki akcji lewicy na terenie parlamentu, zmuszono rząd Lavalą do przyrzeczenia, iż złoży w Izbie projekty odpowiednich ustaw w celu zabezpieczenia ustroju republikańskiego przed akcją zagrażających mu elementów faszystowskich. Organizacje faszystujące znalazły się wtedy w trudnej sytuacji. W tym momencie nastąpił „coup de foudre” ze strony „Croix de Feu” na terenie parlamentu: dep. Ybarnegaray oświadczył w Izbie dn. 6 grudnia 1935 r. w imieniu „Croix de Feu”, iż ruch ten stoi na gruncie ustroju republikańskiego i nie ma bynajmniej charakteru organizacji bojowej. Niemniej jednak odpowiednie ustawy broniące ustroju zostały przez Izbę uchwalone, a płk. de la Rocque skierował akcję „Croix de Feu” w kierunku reformistyczno - parlamentarnym. Zraziło to do tego ruchu wielu zwolenników faszyzmu, ale zarazem spowodowało napływ innych elementów. W czasie wyborów „Croix de Feu” postanowili nie wysuwać własnych kandydatur, lecz natomiast popierać tylko tych kandydatów, którzy dawaliby odpowiednie gwarancje etyczne. Równocześnie „Croix de Feu” wystąpili przeciw tym wszystkim deputowanym, którzy wchodzili w skład ostatniej Izby, pragnąc w ten sposób odsunąć od ciał ustawodawczych zawodowych polityków i demagogów.

g) *Inne organizacje prawicowe.* Inne organizacje prawicowe zdołały również skupić dość dużą liczbę zwolenników na terenie całej Francji. Założona swego czasu przez François Coty „Solidarité française”, której szefem stał się po jego śmierci Jean-Renaud, miała nastawienie zdecydowanie faszystowskie. W dzielnicy łacińskiej Paryża wielu zwolenników liczyła organizacja „Jeunesses Patriotes”, na której czele stał dep. Taittinger. Na prowincji francuskiej rozwijał się coraz bardziej antyparlamentarny „front chłopski” Dorgerès. Żadne z tych stowarzyszeń nie zdołało jednak osiągnąć tak imponującego rozwoju, jak „Croix de Feu”; dlatego zaczęła się wytwarzać tendencja do skupienia tych wszystkich organizacji w jednym wspólnym „froncie narodowym”. Koncepcja ta została istotnie zrealizowana, lecz tylko częściowo, gdyż poza „frontem narodowym” pozostali w dalszym ciągu „Croix de Feu”.

O k r e s p r ę ż n o ś c i r e w o l u c y j n e j. h) 6 l u t y 1934 — 6 g r u d z i e Ń 1935. Punktem zwrotnym we francuskim życiu politycznym były niewątpliwie wydarzenia z dnia 6 lutego 1934 r., w tym dniu bowiem przesilenie, jakie przechodzi francuski ustrój parlamentarny, groziło zmianą reżimu na drodze rewolucji. Prawica francuska nie zdołała jednak wyzyskać tego momentu — podobnie jak nie zdołała wykorzystać afery Stawiskiego.

W znacznej mierze było to zresztą wynikiem faktu, że główną akcję, która poprzedziła wydarzenia z 6 lutego, prowadziła nie republikańska lub faszystowska prawica francuska, ale przede wszystkim monarchistyczna „Action Française”. Prawica nie była przygotowana do tych wydarzeń, nie miała ani sił do wyciągnięcia z nich odpowiednich wniosków, ani człowieka, który mógłby to uczynić. Wydarzenia z 6 lutego wyprzedziły koncepcje polityczne prawicowych przywódców o dobrych kilka miesięcy; dlatego 6 luty stał się tylko punktem szczytowym kryzysu, nie zaś momentem, znaczącym zasadniczy zwrot w życiu ustrojowym Francji. Niemniej jednak 6 luty miał ogromne znaczenie: od tej daty punkt ciężkości zagadnień polityki wewnętrznej przeniósł się z Izby na teren pozaparlamentarny; tem się tłumaczy powodzenie organizacyj takich, jak „Croix de Feu”, czy „Front narodowy”. Ruch ten przybierał wciąż na sile i zdawał się mieć warunki do odegrania decydującej roli w życiu politycznym Francji. Deklaracja dep. Ybarnegaray’a z dn. 6 grudnia 1935 r., która postawiła ruch „Croix de Feu” na platformie ustroju demokratycznego i „pojednania Francuzów”, wywołała uczucie zawodu u wielu zwolenników płk. de la Rocque. W ten sposób, po osiągnięciu swego apogeum, ruch „Croix de Feu” zaczął powoli tracić na znaczeniu jako czynnik polityczny, pomimo iż w dalszym ciągu wzrastała liczba jego członków.

Ruch antyparlamentarny, istniejący we Francji, osiągnął maximum swego nasilenia w okresie od 6 lutego 1934 r. do 6 grudnia 1935 r. Od tej ostatniej daty przebiegające w życiu politycznym Francji procesy, które zmierzały do przeprowadzenia siłą reform ustrojowych, straciły na sile. Po 6 lutym 1934 r. byliśmy świadkami gwałtownego wzrastania prężności rewolucyjnej, zarówno na prawicy jak i na lewicy. Podczas gdy parlament odgrywał rolę hamulca w stosunku do ruchów dążących do reformy ustrojowej, obalając wszelkie próby idące w tym kierunku (projekt Doumergue’a reformy konstytucji, sprawa wprowadzenia do ordynacji wyborczej zasady proporcjonalności i t. p.), siły pozaparlamentarne występowały z planami różnych reform; wystarczy wymienić tu plany C. G. T., Konfederacji b. kombatanów, plan Roche’a, idee Tardieu, antyparlamentarny ruch chłopski Dorgeresa, programy różnych organizacyj faszystowskich i t. p.

Zasada wysuwania, zamiast sztywnych programów — doraźnych, na krótką metę obliczonych planów, po przeniesieniu jej na teren życia partyjnego - politycznego ułatwiła dokonanie konsolidacji sił, zarówno na prawicy jak i na lewicy: odpowiedzią na „front ludowy” był „front narodowy”; skonsolidowane siły lewicy były gotowe same wywołać rewolucję, by nie dopuścić do przewrotu faszystowskiego. Pod wpływem ustawicznych starć i alarmistycznych nastrojów wytwarzała się przedrewolucyjna psychoza, która stawiała naprzeciw siebie dwa przygotowujące się do rozprawy bloki. Zarówno prawica jak i lewica nie miały jednak pewności zwycięstwa w razie próby

ujęcia władzy siłą; ten brak wiary w swe siły utrzymywał zarówno organizacje prawicowe jak i front ludowy na platformie legalności. Płk. de la Rocque, obawiając się przedwczesnego rozwiązania swej organizacji, wydał nawet swym członkom polecenie unikania starć; zajścia w Limoges były tylko zjawiskiem wyjątkowym.

Naskutek tego lewica starała się doprowadzić od ustawodawczego ograniczenia działalności organizacyj prawicowych i wywierała w tym kierunku presję na rząd Laval'a. W momencie, gdy nacisk ten stał się zbyt silny, płk. de la Rocque zdecydował się na jasne postawienie swego ruchu na płaszczyźnie reformistycznej, ale utrzymanej w ramach ustroju republikańskiego. Deklaracje dep. Ybarnegaray'a, złożone w imieniu ruchu „Croix de Feu“ w Izbie deputowanych dn. 6 grudnia 1935 r., stały się punktem zwrotnym w dziejach tego ruchu, a zarazem i w życiu wewnętrznym - politycznym Francji. Nastąpiło wprowadzenie ustaw przeciw organizacjom paramilitarnym, ale równocześnie towarzyszyło temu znaczne odprężenie polityczne: prężność rewolucyjna osiągnęła swój punkt krytyczny i potem zaczęła powoli opadać. Stopniowo następował powrót do bardziej parlamentarnych form działania, co było tem łatwiejsze, iż uwaga ogólna zwróciła się w kierunku problemów polityki zagranicznej, które wywarły ogromny wpływ na ukształtowanie się życia politycznego Francji w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

i) *Nowa Izba*. Wybory w r. 1936 przyniosły zasadniczą zmianę w konfiguracji lewicy francuskiej, której ciężar gatunkowy uległ znacznemu przesunięciu na lewo. Ogromny sukces socjalistów i siedmiokrotne powiększenie się efektywów komunistycznych nie może pozostać bez następstw na przyszłość. Radykali stracili swe uprzywilejowane stanowisko w Izbie i po raz pierwszy od lat czterdziestu nie są najliczniejszym ugrupowaniem w parlamencie; zachowali oni za to jeden atut — mianowicie rolę jęczyczka u wagi w nowej Izbie: bez radykałów nadal nie jest możliwa żadna większość parlamentarna. Nietrudno się w tem zorientować, gdy się weźmie pod uwagę kilka cyfr, streszczających rezultaty wyborów w r. 1936:

	I gło- sowa- nie 26. IV.	II gło- sowa- nie 3. V.	Ogółem	Zyski	Straty
Niezależni	10	11	21	8	—
Unja republikańsko-demokratyczna	48	41	89	23	—
Demokraci ludowi i rep. centrowi	14	9	23	—	—
Centrum republikańskie, republika- nie lewicy i niezależni lewicy . .	38	36	74	—	29
Lewica niezależna i radykali niezal.	11	17	28	—	20
Radykali	23	85	108	—	51
Niezależni socjaliści	2	6	8	—	17
Unja socjalistyczna	6	21	27	—	15
Socjaliści S. F. I. O.	21	125	146	47	—
Pupiści	—	8	8	—	2
Komuniści S. F. I. C.	10	63	73	63	—

Jak wynika z tej tabeli, koszty wyborów poniosły przede wszystkim drobne ugrupowania centrowe, radykali i unja socjalistyczna. W nowej Izbie wzmogły się za to ogromnie wpływy partyj skrajnych, zarówno lewicowych jak i prawicowych.

Układ sił w Izbie deputowanych nie jest jednak istotnym odpowiednikiem ilości głosów otrzymanych przez poszczególne partje, które w pierwszym głosowaniu z 26 kwietnia (t. j. wtedy gdy partje stawały do wyborów oddzielnie, nie zblokowane — jak w dn. 3 maja) osiągnęły następującą liczbę głosów: unja republikańsko-demokratyczna i pokrewne drobne ugrupowania 1.895.874; demokraci ludowi 373.493; republikanie lewicy i niezależni republikanie 2.053.930; radykali 1.401.974; unja socjalistyczna 569.337; socjaliści S. F. I. O. 1.887.209; papiści 184.763; komuniści 1.453.923.

Na podstawie tych, prowizorycznych narazie, cyfr można określić liczbę głosów, oddanych na stronnictwa wchodzące w skład „frontu ludowego“ na 5,315.646 — podczas gdy partje centrowo-prawicowe zdołały skupić 4,323.297 gł. W nowej Izbie ugrupowania prawicowo-centrowe dysponują jednak tylko ok. 220 głosami, podczas gdy „front ludowy“ skupił ok. 390 mandatów (o ile wliczymy tu wszystkich radykałów). W istocie jednak ok. 30 radykałów zostało wybranych przy poparciu głosów stronnictw umiarkowanych, przeciw „frontowi ludowemu“. Wydaje się więc wątpliwe, by mogli oni brać udział w rządzie skrajnie lewicowym.

Jeśli chodzi o parlamentarną formułę przyszłych rządów, to — biorąc pod uwagę te cyfry — możliwe są następujące rozwiązania: 1. rząd socjalistyczny „frontu ludowego“; 2. rząd radykalno-centrowy, przy poparciu prawicy, i 3. rząd, opierający się na mniejszości w Izbie, ale tolerowany przez jedno z dużych stronnictw nie biorących w nim udziału. Trzecia ewentualność wydaje się mało prawdopodobna, gdyż radykali nie są już najliczniejszym ugrupowaniem w Izbie, a wydaje się wątpliwe, by socjaliści w razie niedojścia do porozumienia z radykałami chcieli próbować tego rodzaju eksperymentu. Rząd socjalistyczny, oparty na formule „frontu ludowego“, wydaje się bardzo prawdopodobny, ale nie miałby szans trwałości. Nawet gdyby doszło do uzgodnienia wspólnego programu socjalistów i radykałów, co wydaje się dość trudne, to i tak, prędzej czy później, tego rodzaju większość musiałaby się rozbić przy rozwiązywaniu problemów polityki gospodarczej i finansowej. Najwięcej szans trwałości ma więc kombinacja druga, rządu radykalno-centrowego, ale może ona dojść do skutku dopiero po niepowodzeniu rządów socjalistycznych.

Te arytmetyczne rozważania wskazują zupełnie jasno, że ostatnie wybory francuskie nie rozwiązały problemów politycznych, których nie po-

trafiła rozwikłać ostatnia Izba. W życiu politycznym Francji istnieją w dalszym ciągu trzy prawie równe liczebnie bloki, mianowicie: prawicowy, lewicowy i centrowo-radykalny, z których żaden nie może uzyskać decydującej większości. Ten układ sił utrzymuje się we Francji już od szeregu lat, tak iż nie wydaje się prawdopodobne, by mógł on ulec w ciągu najbliższego okresu czasu znacznym odchyleniom i zmianom. Jedyne zasadnicza reforma ordynacji wyborczej mogłaby rozwiązać ten problem, ciążący od dawna nad życiem politycznym Francji. Nowa Izba staje więc wobec tych samych problemów, które uniemożliwiały normalny tok życia parlamentarnego w czasie poprzedniej kadencji. Byłoby przedwczesne zastanawiać się, czy ten permanentny stan niedomagań parlamentaryzmu francuskiego wywoła, czy nie wywoła pewnych reakcyj na terenie pozaparlamentarnym, jak w czasie ostatniej kadencji; zależeć to będzie w znacznej mierze od samej Izby.

W każdym razie parlamentaryzm francuski musi wyciągnąć pewne wnioski z ostatnich wyborów i w porę zastosować odpowiednie środki; w przeciwnym razie organizm polityczny Francji nie mógłby normalnie funkcjonować. Ostatnie wybory, które odsunęły od parlamentu szereg wybitnych osobistości, były wyrazem reakcji opinii publicznej przeciw niedomaganiom parlamentaryzmu. Jeśli w ciągu szesnastej legislatury III Republiki nie uda się znaleźć odpowiednich środków, które uleczyłyby niedomagania parlamentaryzmu francuskiego — mogą się znowu wzmóc tendencje, zmierzające do poszukiwania ekstraparlamentarnych rozwiązań kryzysu. Obecne położenie gospodarcze i finansowe Francji, jak również i sytuacja międzynarodowa, wymagają jaknajszybszego zlikwidowania trudności wewnętrzno-politycznych, gdyż kierownicze czynniki francuskie będą musiały zogniskować całą uwagę na nowym dynamizmie wydarzeń, jaki zaczyna coraz to silniej drażyć życie polityczne Europy.

K S I A Ż K I

Bohdan Kieszkowski: *Platonizm renesansowy*. Nakładem „Przeglądu Filozoficznego”, z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Warszawa, 1935.

Jednym z przejawów rozkwitu nauk historycznych w drugiej połowie ubiegłego stulecia była krytyka przyjętych przez wiek Oświecenia schematów klasyfikacyjnych: podziału na epoki, ustalenia między nimi ścisłych, chronologicznych granic, szablonowej i upraszczającej ich charakterystyki—wszystkich, słowem, posunięć metodologicznych, które sprzeciwiały się podstawowemu postulatowi pragmatycznego i genetycznego traktowania dziejów. Schematyzującemu racjonalizmowi w. XVIII, jego zasadniczo negatywnej postawie wobec przeszłości, wypływającej z braku krytycyzmu i zmysłu historycznego (słusznie powiedział o w. XVIII Dilthey, że był to wiek najbardziej ze siebie zadowolony), przeciwstawili badacze czasów najnowszych dążenie do historycznego obiektywizmu, osiąganego na podstawie źródłowych i wszechstronnych monograficznych studjów. Studja te, rekonstruujące rzeczywistość historyczną w całym bogactwie jej różnorodnych przejawów, rozszerzyły niepomniernie zakres historycznej problematyki i zakwestjonowały wartość naukową dotychczasowego dorobku wiedzy historycznej.

Przewartościowanie uświęconych przez tradycję poglądów i stanowisk wywołało cały szereg sporów na terenie historiografii. Dotyczą one głównie zagadnienia „charakterystyki” poszczególnych okresów dziejowych, ujęcia swoistych cech ich duchowego oblicza. Do zakresu kwestyj spornych należy również problem genezy i istoty renesansu, do którego nawiązuje temat wymienionej wyżej pracy.

Spór o renesans datuje się od czasu ukazania się klasycznej w swym rodzaju książki J. Burckhardta: *Die Kultur der Renais-*

sance (Bazylea — 1860), pojmującego renesans jako całkowite zaprzeczenie średniowiecza, jako rewolucję myślową, poczętą z ducha studjów nad starożytnością klasyczną. Na Odrodzenie patrzył przez pryzmat swego artystycznego usposobienia, nie docenił przeto roli czynników pozaartystycznych, nie widział ogniw, łączących nową epokę ze średniowieczem. Jednostronny pogląd B. stał się przedmiotem surowej krytyki, w której zarzucano mu brak ujęcia genetycznego i poczucia ciągłości historycznej. Zwolennicy genetycznej interpretacji zagadnienia posunęli się nawet do krańcowej i paradoksalnej tezy, ujmującej Odrodzenie jako dalszy ciąg wieków średnich i kwestjonującej twórczą rolę odrodzonego antyku.

Dzięki pracom mediewistów, m. i. ks. prof. Michalskiego, metoda genetyczna w badaniach uzyskała podstawę naukową. Jej zwolennikiem w naszej literaturze jest dr. M. Heitzman. W swojej rozprawie p. t. *Istota renesansu* („Kwartalnik Filozoficzny”, tom VIII, 1930) wyprowadza wszystkie kierunki filozofji w. XV-go i XVI-go ze średniowiecza i dlatego sądzi, że nie można mówić o jednolitym i oryginalnym światopoglądzie Odrodzenia, co wynika również z charakteru przejściowego tej epoki. Odrzuca burckhardtowską tezę o *prze ci w i e n s t w i e* między renesansem i średniowieczem i mówi tylko o *r ó ż n i c y* między nimi. A różnica ta nie polega, jego zdaniem, na zjawieniu się nowego kierunku lub nowych idei, lecz na nowym ugrupowaniu kierunków już istniejących. „Nieomal chciałoby się powiedzieć za Neumanem (uczeń Burckhardta — również przeciwnik jego estetyzującej koncepcji renesansu), że różnica między renesansem a średniowieczem leży „in der Dosierung“ (**M. Heitzman: Istota renesansu**).

Podzielając zasadniczo ewolucyjny pogląd na genezę Odrodzenia, zwalcza jednak Kiesz-

kowski stanowisko badaczy, negujących współdziałanie nowych czynników w procesie dziejowym renesansu, dla których jest on okresem bez skryształizowanej formy i oblicza. Będąc z zawodu historykiem filozofii, podejmuje obronę swoistości i odrębności epoki Michała Anioła w szeregu polskich i włoskich studiów z zakresu dziejów tej myśli filozoficznej, opartych na badaniach źródłowych przeprowadzonych przez autora podczas trzyletniego jego pobytu we Włoszech.

Wśród prądów filozoficznych Odrodzenia miejsce czołowe zajmuje, jak wiadomo, platonizm. Pogląd na renesansowy ruch platoński, którego ogniskiem była założona przez Cosima de Medici w r. 1462 Akademia platońska we Florencji, związany jest, oczywiście, z ogólnym poglądem na epokę. Badacze, hołdujący metodzie genetycznej (przeważnie medjawiści) uważają ruch ten za kontynuację prądu augustyńsko-platońskiego XIV-go stulecia i dlatego sądzą, że miał on charakter czysto eklektyczny i receptywny. U nas broni tego poglądu Heitzman w rozprawie: „Studja nad akademią platońską we Florencji“ („Kwartalnik Filozoficzny“, tom X i XI, 1932-3), co jest na tle jego stanowiska zasadniczego w przedmiocie renesansu zupełnie zrozumiałe.

Kieszkowski natomiast uważa platonizm renesansowy za ruch samodzielny i oryginalny, wyrosły na gruncie nowego czynnika historycznego, jakim był włoski humanizm. Nawiązując do pewnych form życia starożytności klasycznej i poszukując w nich podstawy dla nowej koncepcji życia i człowieka, wprowadził humanizm do filozofii swego czasu, słusznym zdaniem autora, nowe idee, nie mieszczące się w ramach oficjalnej doktryny filozoficznej Kościoła.

Swoją obronę oryginalności platonizmu renesansowego opiera K. na analizie filozofii Marcilio Ficino, jednego z koryfeuszów akademii florenckiej, polemizując ze stanowiskiem Heitzmana. Ze względu na b. specjalny charakter tej interpretacyjnej kontrowersji i na liczne w niej kwestie sporne, nie możemy się nią bliżej zająć w piśmie niefachowym. Wskażemy tylko na omówione przez K. poglądy religjologiczne włoskiego platonika, które, naszym zdaniem, są najbardziej bezspornym elementem renesansowym w jego filozofii.

Punktem wyjścia poglądu Ficino na religię jest platońska koncepcja wrodzoności idei Boga, przejawiającej się we wszystkich religiach, które są w istocie swojej historycznymi odmianami jednej tylko religii uniwersalnej. Stanowisko to podzielał, jak wiemy, tak-

że inny wybitny przedstawiciel Odrodzenia, Erazm z Rotterdamu¹⁾. Kryterjum doskonałości doktryny religijnej upatruje Ficino w stopniu jej filozoficznego pogłębienia i dlatego stawiał tak wysoko teologię orfiacką i platońską, których wyższym stopniem jest, według niego, chrystjanizm. Wyższym, ale nie ostatnim. Wychodząc z czysto historycznej i ewolucjonistycznej interpretacji religii, jako zjawiska dziejowego, uważał chrześcijaństwo za jedną tylko fazę w procesie rozwojowym religii uniwersalnej, której dalszy postęp widział w powstaniu nowego świadomości filozoficzno-religijnej, opartej o wzory antyczne i uzgodnionej ze zmienioną postawą intelektualną człowieka nowożytnego. W tem swoim niedogmatycznym, perspektywistycznym (skierowanym ku przyszłości) naukowym ujęciu zagadnienia religii jest autor *Theologia platonica* wyrazicielem krytyczno-badawczego ducha Odrodzenia. Dla tych jego poglądów nie znajdziemy analogii ani w prawowiernym augustynizmie średniowiecznym, ani w spódkrewnionej z naszym filozofem aleksandryjskiej szkole katechetów.

Wydaje nam się jednak, że pojawiające się w filozofii renesansu nowe idee i tendencje nie mogą być dostatecznym dowodem jej twórczej oryginalności, której broni autor. Przeważa bowiem w niej rozwiązywanie nowych zagadnień na starą modłę, łączenie w sposób eklektyczny sprzecznych ze sobą elementów, tworzenie synkretystycznych konstrukcyj zamiast syntezy, która była dziełem wieków późniejszych. Stąd też pochodzą trudności, piętrzące się przed badaczami w ustaleniu przewodniej, naczelnej myśli filozofii Odrodzenia.

J. Bleiberg

Gabrjel Korbut: *Szkice i drobne zgi historyczno-literackie*. Warszawa, Kasa im. Mianowskiego 1935.

Zmarły przed niewieloma miesiącami prof. Korbut, skrzętny i zabiegliwy znawca ojczystego piśmiennictwa, po długich latach milczenia wznowił, jakby w przeczuciu iż pracowite dni jego dobiegają końca, działalność wydawniczą. Poza reedycją pracy, drukowanej na początku naukowej kariery, wybrał i opublikował „na pamiątkę dla życzliwych mu osób“ szereg pomniejszych rozpraw pod

¹⁾ Ob. omówienie „Erazma z Rotterdamu“ Zweiga w 2 — 3 zeszytach „Drogi“ r. b.

wspólnym tytułem „Szkiców i drobiazgów historyczno - literackich”. W notatce poprzedzającej książkę wyznaje, iż „stracił nadzieję, że zdąży jeszcze opracować obszerniejszą jaką monografię o pisarzu lub okresie literatury”; nie bez żalu dodaje, iż cały czas, niestety, zaabsorbowała mu benedyktyńska zaiste, praca nad zestawianiem materiałów „Literatury polskiej od początków do wojny światowej”, tego nieporównanego kompędjum, bez którego obejść się nie może polonista, ani też poważniejszy literat. Takiego trudu dokonuje zawyczaj gdzieindziej cały zespół, odpowiednio w pomocy naukowe zapatrzone kolegium; u nas trud ten, jak wiele innych, spadł na barki jednostki. Jest akcent głęboko przejmujący w nocie wstępnej, która stwierdza to poprostu, nie rozwodząc się zbytecznie nad abnegacją, której trzeba było, by dokonać dzieła o szerokiej skali kulturalnej, dzieła fundamentalnego, ugruntowanego nietylko miłośnictwem, lecz przede wszystkim płodnym i skrzętnym instynktem gospodarskości; jest tak, jakby kto powołany do wypraw w kraje mało zbadane ograniczył się z dobrej woli do gromadzenia dobytku, rozproszonego przez protoplastów, do zwiezienia do brogów i śpichrzów każdego ziarna wśród milionów plew, porwanych przez wicher czasu. Tak powstał ten tom ostatni i mniemać wolno, że znajdzie nietylko bliskich, lecz sporo dalszych przyjaciół.

Znajdujemy tu rzeczy, w różnym powstałe czasie i rozmaitej treści. Widać z nich, że głównym polem zainteresowań autora była literatura nowsza, koniec wieku oświecenia, oraz XIX stulecie. I tak: szkic, książkę otwierający a publikowany w pierwodruku przed laty trzydziestu, przypomina najwybitniejszego po Mochnackim krytyka romantyzmu polskiego, Aleksandra Tyszyńskiego; postać to szczególnie aktualna ze względu na wzmożenie ostatnio badań nad Norwidem i Żmichowską, do czego walenie przyczynili się Zygmunt Wasilewski i Boy - Żeleński. Bardzo na czasie w owych latach wolnościowych, w roku 1905 rozbudzonych nadziei, było wskrzeszenie tego pisarza umysłu wytrawnego, którego wykładom, w następstwie w postaci „Studjów literackich” ogłoszonym, a wygłaszanym w Szkole Głównej warszawskiej, niejedno miał do zawdzięczenia Chmielowski; było to w okresie ucisku płodne nawiązanie zerwanej tradycji kulturalnej, i czynnik ten po dziś dzień winien nas wzruszać, jeśli zważymy, że oto w czasach obecnych praca Korbuta ukazuje się za poparciem Instytutu Naukowego, będącego pośrednim spadkobiercą owych nawiązywanych tradycji. Inteligencja i trafność, nie pozbawiona

naiwności, rzeczowe niewyszukiwanie słownictwa znamionuje tę i wszystkie następne prace Korbuta, i nie przypadkiem zapewne położono ją na czele zbioru; „w sądach swoich jest zwykle wytrawny i spokojny” — pisze o Tyszyńskim jego monografista; to samo rzecz można o ocenach samego autora, zarówno tutaj, jak w studjach pomieszczanych jeszcze przed wojną, a także wkrótce po niej, w „Stu latach myśli polskiej”, gdzie odnaleźć podobnie można szereg tekstów autentycznych badanych pisarzy, które — pomieszczane niegdyś po czasopiśmie i drzemiące w zapomnianych rocznikach — przypominano pokoleniu, które wybić się miało na niepodległość.

Zajmującą następnie i wyborną sylwetę otrzymujemy w postaci „przyjaciela rzymskiego Mickiewicza”, czyli księdza Stanisława Choloniewskiego. Kijowszczyzna w okresie wiosny narodów nie posiadała wybitniejszego od niego, ni szerszej uprawy kulturalnej prozaika. Autor „Snu w Podhorcach” nietylko silnie bardzo wpłynął na przełom religijny autora „Książki pielgrzymstwa” i odżalować nie można, iż korespondencja między nimi zaginęła; lecz w obu swych naczelnym i najdłuższych utworach zarówno formą swych alegoryj, które napoły przypominały traktaty filozoficzne, a napoły beletrystyczne utwory, jak i kierunkiem myślenia, zbliżającego go do zachodnio-europejskiego konserwatyzmu, dziwnie przypominał powstające podówczas, analogiczne utwory Krasińskiego; rzecz dziwna, iż dotychczas, jak się zdaje, nie zwrócono uwagi na to powinowactwo.

Bardzo nieoczekiwane światło na ewolucję umysłową Krasińskiego właśnie pada ze szkicu następnego, poświęconego Henrykowi Kamińskiemu; ów potężnej inteligencji uczeń Hegla, ojciec duchowy młodszego od siebie pierwszego czerwonego w Polsce hrabiego, a swego brata ciotecznego, Edwarda Dębowskiego, teoretyk rewolucji i wojny ludowej, radykalny szlachcic i gorący partjota, dziwak, chimeryk i spiskowiec, który już po powstaniu styczniowym umrzeć miał w dalekim Algierze, wpłynął bezpośrednio przez swe „Prawdy żywotne” na powstanie „Psalmów przyszłości”. Lecz mało kto wie, iż w końcu życia sam Krasiński nawiązał z dawnym przeciwnikiem politycznym ożywioną korespondencję i, co więcej, o następnych dziełach jego wyrażał się z zachwytem. Bardzo wartoby zakrzętnąć się koło wydania wyboru pism tego prekursora idei, które obecnie miotają powojennym światem.

Niewielkiej objętości, a przecie bardzo śmiałym studjum jest rzecz o „Regionalizmie Mickiewicza”. Zaznacza w niem Korbut, iż

koryfeusze naszego romantyzmu, to bez wyjątku kresowcy, co odbić się musiało na ich słownictwie. Nie zdajemy sobie w dostatecznej mierze sprawy, do jakiego stopnia obecny nasz kanon językowy urobiony został przez te regionalne domieszki. Najbardziej decydującą rolę odegrał, rzecz prosta, twórca „Pana Tadeusza” w tym procesie powstawania nowszej gwary literackiej. Bardzo wiele jego białorusycyzmów, tu przez Korbuta zaznaczonych, przejęliśmy na wiarę. Podobnie Mickiewicz, otaczający się jeszcze w Paryżu druhami z lat młodości i który nigdy nie oglądał Warszawy, bardzo silnie odczuwał i akcentował odrębność swą, duchową i obyczajową jako „litwina”, a raczej szlachcica białoruskiego. Nasuwa to ciekawe analogie z postacią Marszałka Piłsudskiego. Podobnie bardzo ciekawa i odważna jest wzmianka o Krasińskim, zepchnięta do przypiska, a charakteryzująca Krasińskiego, jako wybujałego retora. To motywuje, zdaniem Korbuta, sympatie autora „Psalmów” dla Kajetana Koźmiana; zdanie to wydaje się odkrywcze.

W studjum o „Puściznie Wiszniewskiego” udaje się autorowi odgrzebać — i to, o dziwo, z egzemplarza nienaruszonego, przechowywanego w Bibliotece Jagiellońskiej, całkowicie zapomniane dzieło profesora krakowskiego i jednolitego dyktatora z r. 1846, a wydane w Londynie w języku angielskim. Tom ów wzbudził ongi zainteresowanie i polemiki cudzoziemców, a rodakom pozostał nieznan; zaiste, habent sua fata libellae. Ale coś, jakby zawstydzenie, budzić w nas nie przestaje poczucia, iż ciągle jeszcze możliwe są podobne odkrycia.

Umiarem, pilnością dociekań i oglednością oceny odznaczają się dwa obszerniejsze studia, poświęcone satyrykom wieku oświecenia, Żałuskiemu i Gorczyzewskiemu; obaj ci duchowni i wychowawcy — niezależnie od bardzo różnej na niekorzyść biskupa Żałuskiego skali talentu — byli swego czasu, jak ich określa Korbut, „pogromcami obskurantyzmu”. Transplantowali do Polski, mimo oporu obruszonej opinii Boile’a, jak dziś transplantuje się Shaw’a lub... Majakowskiego.

Dla uwydatnienia temperamentu Korbuta, tego uczonego, zagrzebanego jakby się zdawać mogło w aktach, rękopisach i przyczynkach, zaznaczyć koniecznie trzeba, iż w sprawie, którą uznał za słuszną, potrafi być zadzieryżysta a nawet kąśliwy; nie liczy się wtedy z autorytetami i walczy, jak człowiek nawskroś żywy. Tak ostrzega choćby, raz jeszcze zbiegając się z Boyem, przed wypaczonościami i urobionymi dla potomności relacjami

Władysława Mickiewicza. W takich razach jedyną przewodniczką jest mu prawda.

Srodek tomu poświęca dłuższemu wyciągowi z książki, która obstaje przy pojęciach i metodach tego, co zwie „historją literatury”. Tu profesor staje się niemal buńczuczny i nie szczędzi docinków poniewieranym krytykom literackim, których w czambuł niemal uważa za szkodliwych i bałamutnych dyletantów. On sam jest weteranem filologicznego badania tekstów. O tej kwestji popłynął bezmiar atramentu i trudno ją na oczekaniu rozstrzygać. Zdać się, że nietyłe materiały, ile kryterja badań są odmienne. Tak czy owak, dostaje się tu łatka nawet Tarnowskiemu i Chlebowskiemu, którym Korbut przyznaje talent literacki lub pedagogiczny, lecz kwestjonuje wartość ich sformułowań. Naszym zdaniem, broni z silnym przekonaniem i dobrą wiarą straconej placówki.

Tom, jak widzimy, pomimo pozornej oschłości tematycznej i przygodności poruszanych kwestji, wiele urozmaicony i pobudzający. Praca subtelnej wrażliwości i wytrawnego sądu. Jednostronność predyspozycji umysłowych autora winna nas nie zrażać lecz pociągać; właśnie jednostronność ta winna rozwiać uprzedzenia, skłonić do delektacji i skonfrontowania ocen tych, którzy odmienne zajmują stanowisko.

Stefan Napierski

Jan Kott: *Podwojony świat*. Biblioteka Klubu Artystycznego „S”, tom 3. Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa 1936 r. Str. 31 i 1 nlb.

W r. 1931 ukazał się zbiorowy tomik wierszy trzech młodych poetów: Kotta, Matuszewskiego i Pietrzaka, jako pierwszy tom Biblioteki Klubu Artystycznego „S”, rozwijającego podówczas na terenie Warszawy ożywioną działalność; dzisiaj pierwszy z ówczesnych debiutantów wstępuje na samodzielną drogę, wydając swój „Podwojony świat”. Jest to bilans dwuletniej pracy nad poszukiwaniem i doskonaleniem własnego wyrazu, a zarazem dokument stabilizowania się młodzieńczej indywidualności autora, intensywnego stawiania się sobą. Coraz więcej dojrzałej stanowczości w wyborze i zakreślaniu sobie zadań, coraz mniej zachlystywania się efektami życia, ostateczne wyeliminowanie formalnej nieporadności i szkolnej minoderji. W każdym razie w porównaniu z tomikiem z przed dwóch lat postęp niewątpliwie wielki: tam — chwytanie najprzeróżniejszych stylów i stylików, zbanalizowania w rodzaju „jarmarków życia” czy „matematyk uczuć”, rozkoszowanie

się szarmanckością regularnej strofki; nawet sonet — widmo wykletej przez dzisiejszą poezję formy, powołany został przez autora do wyrażenia procesu twórczego. W tonacji uczuciowej przemieszano ze sobą powierzchowną wytworność cyganerii ze schyłkowością uczuć i myśli.

To wszystko już się bezpowrotnie skończyło: w „Podwojonym świecie” Kott daje rzadko spotykaną jednolitość stylu. Przekonał nas, że wybrał zdecydowaną drogę, zredukował ilość mistrzów, którym przedtem ulegał, wielu dawniejszym dał ostateczną odprawę, skupił się wewnątrz i skrytalizował. Żadnych gestów demagogii, żadnego upajania się efektami zjawisk społecznych, politycznych, artystycznych; raczej zamknięcie się w kręgu doznań osobistych o silnym zabarwieniu wspomnieniowym. Jest w tym tomie spojrzenie wstecz, w podświadomość dziecka drogą sennego marzenia. Ogromna wrażliwość na piękno, niezmiernie rzadka (jeśli chodzi o intensywność) chłonność lirycznego wyrazu, cechująca wszystkich bez wyjątku poetów „S”, pogłębiła niewątpliwie wartość osiągnięć Jana Kotta i tem łatwiej pozwoliła mu się oderwać od t. zw. rzeczywistości społecznej.

Jeślibyśmy chcieli jasno i prosto określić treściowe zasięgi „Podwojonego świata”, to umieścilibyśmy go w ramach liryki miłosnej i wspomnień dzieciństwa. Te ostatnie są niewątpliwie ciekawym zjawiskiem i u tak młodego autora oznaczają organizację psychiczną niezwykle wrażliwą, silnie odczuwającą każde zetknięcie się z t. zw. brutalnością życia. Proces krzepnięcia i zdobywania sobie w powodzi zjawisk męskiego stanowiska światopoglądowego został jakby opóźniony tem właśnie obejrzeniem się poza siebie, w lata chłopięce. Oczywiście, nie wyklucza to wszelkich możliwości na później. Obecnie okres lęków jeszcze nie ustąpił, jeszcze nie koniec tej przemianie, kiedy to „młodzieńcze pięści zamieniają się na męskie”; dlatego też tyle jeszcze tu słów, jak: „zatulić się”, „puch”, „skrzydła”, pojęte nie jako symbol lotu ale osłony i t. p.

Poza temi dziećmi odruchami szukania w świecie elementów matczynych, szereg wierszy — to śmiałe erotyki, zazwyczaj budowane w pośredniej, pejzażowej sublimacji (np. wiersz „Nad drżenia gór”).

W całym tomie przeplatają się ze sobą tęsknota za najdelikatniejszymi uczuciami macierzyńskimi i zmysłowość. Jeszcze te dwa elementy: zmysłów i uczuć, nie stopiły się u Kotta w jednolity wyraz, któremu na imię miłość. Teraz jeszcze jest tak: jak uczucie, to obraz matki; jeśli zmysły, to kochanka. W

tym podwójnym świecie przeżyć wewnętrznych w splecaniu realjów podwojonych przez sennie wizje ukazuje się nam oblicze autora-człowieka.

Jako artysta Kott usiłuje wyrazić się w konstruktywności każdego swego utworu, w jaknajściślejszym powiązaniu jego elementów i w eliminacji niepotrzebnych, w myśl naczelnego założenia, aczkolwiek nieraz może i pięknych, momentów. Zamierzenia swoje stara się przeprowadzić subtelными środkami, świadczącymi o jego smaku. W doborze tych środków korzysta z doświadczeń mistrzów polskiej i francuskiej awangardy. Na szczególne wyróżnienie zasługuje jego wysiłek w kierunku uzyskania najbardziej pełnej, naturalnej a swobodnie rozwiniętej frazy. Nie w kierunku lakonizmu zmierza Kott, ale raczej w możliwie całkowitej a zgodnej z właściwościami naszego języka formie składniowej komponuje swoje utwory. Przekłady z Eluarda, jak i niedawne studjum Kotta p. t. „Tragedja nadrealizmu” świadczą najlepiej o kolidacjach jego w okresie pisania „Podwojonego świata”.

Właściwy a istotny chwyt autora — to świadome utrwalanie płynnych nastrojów myślowych. Intelktualizm obraca się tutaj na formę, na sam proces tworzenia. T. zw. zgruba treść nie reprezentuje innych wartości poza owemi plastycznymi nastrojami myśli, wywołanych bądź doznaniem aktualnem, bądź wspomnieniami. Bardzo dużo mamy tutaj fizyki ciała ludzkiego.

Stefan Flukowski

Jadwiga Gamska-Łempicka: Między niebem a ziemią. Lwów, nakł. Księgarni Gubrynowicza.

Jadwiga Gamska-Łempicka debiutowała przed siedmioma laty tomikiem wierszy p.t.: „Przechodniom”. Wiersze te były dosyć anemiczne; indywidualność twórcza nie zarysowała się w nich z dostateczną wyrazistością. Należały do typu poezji wtórnej, „duplikatywnej”, jakkolwiek można w nich było zauważyć tu i ówdzie ton samodzielnny, zapowiedź dobrych możliwości rozwojowych.

W nowym, drugim z rzędu, wcale sporym tomiku poezji, liczącym kilkadziesiąt stron, Gamska-Łempicka pozostawia daleko poza sobą okres prób i fermentów poetyckich. „Między niebem a ziemią” — to owoc dojrzałego już i samorodnego talentu, jednego z ciekawszych talentów kobiecych młodszego pokolenia. Przemawia z tych wierszy organizacja twórcza niezmiernie subtelna, chłonna i przewrażliwiona w stosunku do

zjawisk współczesnej rzeczywistości społecznej. Poetka podkreśla już w tytule swojego zbioru jego rozpiętość tematyczną i pośrednio swoją postawę do życia. Postawa to głęboko współczująca z wszelkimi objawami społecznej krzywdy i anomalij społecznych. Dyktuje ją nietyle sugestia modnej dzisiaj w poezji polskiej doktryny proletariackiej, ile raczej z przemyśleń głębszych rodzący się nakaz szlachetnego humanitaryzmu. W wierszach miłosnych przypomina Gamska-Lempicka temperaturą cielesności, wyrażonej jednak w sposób bardziej ścisły i powściągliwy, przedwcześnie zmarła, niezapomnianą „poetkę krwi i zmysłów“ K. Zawistowską. Obok wierszy, w których renesansowa bujność życia duchowego poetki znalazła swój wyraz dyskretnie spowiedniczy, pozbawiony jednak cech literackiego ekshibicjonizmu, „Między niebem a ziemią“ zawiera mnóstwo innych o charakterze przedmiotowym, obserwatorskim, wreszcie refleksyjnym, o podłożu filozoficzno-społecznym.

Do najpiękniejszych z nich zaliczyłbym „Drzewa w mgle“, gdzie sugestywny nastrój stapia się z ciekawą refleksją o pokrewnym rytmie duszy w człowieku i przyrodzie. W wierszu p. t.: „Stacja“ wprowadzony do powojennej literatury polskiej przez Stefana Grabińskiego motyw życia kolejowego zamyka poetka nastrojową pointą, pełną tajemniczej grozy, wkraczającej w fantastyczny świat „Niewiadomego“. Kontrast między senną, zautomatyzowaną monotonią życia kolejowego na malutkiej, prowincjonalnej stacji, a irracjonalizmem tragicznych zasadzek, czyhających na człowieka na tym odcinku życia, wydobyla poetka z pełną siłą wyrazu, bliską mistrzowskim nowelom kolejowym Stef. Grabińskiego („Demon ruchu“). „Porucznika Żwirki pojedynek ze śmiercią“ zaliczyłbym do słabszych wierszy zbioru. Pisany jakby w stylu pseudoklasyckiej ody, ten wierszowany dytyramb razi sztuczną szarżą patetyczną, staroświeckim trochę słownictwem poetyckim i niewielką ekspresją. Zato wspaniała ekspresję posiada wiersz „Do Pana Tadeusza“, pełen najtkliwszego podziwu dla arcydzieła mickiewiczowskiego, godny, by go postawić obok najlepszych poezyj tego typu Lechonia, Broniewskiego, Łazowertówny i in. Poetka zaakcentowała w wierszu tym tajemnicę poetyckich czarów „Pana Tadeusza“, jego bezustanną, nigdy nie starzejącą się aktualność, polegającą na współdziałności jego uczuciowego nurtu z duszą nowych pokoleń, które widziały w „Panu Tadeuszu“ nie tylko uwielbienie polskiej dawności, lecz przedewszystkiem uwielbienie ideału ojczyzny, do którego środowiska i ludzie dorastali najrzadziej.

W cyklu p. t.: „Modlitewnik“, zawierającym częściowo podmiotowe, częściowo zaś bezosobiste nastroje i tematy religijne (nierównie pod względem poziomu formalnego), uderzają miejscami żarliwe akcenty mistycznego patosu, w metafizyce religijnej umieszcwiającego ostateczny, najwyższy w hierarchii ludzkich celów sens życia. Ballada „O murarzu, co chodzi po śmierci“ posiada typowo balladowy, podwójny styl: realistyczny, oddający starannie charakter prymitywu ludowo-proletariackiego, oparty poza tem o pałacą obecnie społeczną problematykę bezrobocia i fantastyczny, ujęty w duchu psychologii folkloru, odprężający zaś spory ładunek uczuciowo-społeczny pierwszej części ballady. „Do wiosny — zamiast hymnu“, wiersz, spowinowacony dalekimi węzłami z tuwimowską „Wiosną“, głównie w naturalistycznie niemal chropowatej frazeologii, dalej w zamiarze odszablizowania samego tematu, traktowanego pod znakiem manieri religijno-estetycznej (uświęconej wieloletnią tradycją), w dwóch końcowych strofach głosi protest przeciw bezmyślnemu determinizmowi przyrody, w imię humanitarno-społecznych ideałów.

Pod względem formalnym waha się „Między niebem a ziemią“ między tradycyjnym a nowatorskim typem poezji. W całych grupach wierszy występują tu rysy poetyki prawidłowej, asonanse Gamskiej-Lempickiej pozbawione są piętna przesadnie rewolucyjnego, zacierającego nieraz u niektórych nowatorów powinowactwa fonetyczne końcowych sylab wierszy. Kunsztowność strofiki i bogactwo rytmiczne tomiku dowodzą, że poetka posiada pełną samowiedzę swoich środków artystycznych i włada bardzo dobrze kunsztem poetyckim.

J. E. Płomiński.

Aron Cotrus: W y b ó r w i e r s z y.
Przełożył Włodzimierz Lewik. Lwów, 1936.

Liga Polsko - Rumuńska we Lwowie wydała ostatnio tomik, zawierający wybór nowych wierszy Arona Cotrusa — znakomitego poety rumuńskiego, który jest jednocześnie attaché prasowym przy poselstwie rumuńskim w Warszawie. Jest to wypadek charakterystyczny i wcale nie odosobniony: dyplomatów i poetów w jednej osobie spotykamy także gdzieindziej, nie wyłączając Polski: przykładem mogą tu być: Lechoń, Iwaszkiewicz, Baliński.

Helena Vacarescu, delegatka Rumunii przy Lidze Narodów i słynna poetka, zapytana kiedyś w Paryżu, w jaki sposób łączy politykę z poezją i czy jeden z tych absorbują-

cych, a tak z pozoru niepodobnych do siebie zawodów nie zawadza drugiemu — dała następującą odpowiedź: „Najbardziej subtelne perfumy wytwarza się w zakładach chemicznych wśród najprzyczekszych wyziewów; surowce, będące podstawą tych pachnideł, wydzielają nieraz bardzo nieprzyjemne wonie, dopóki nie przejdą przez pewien proces przetwórczy. Tę samą zasadę zastosować możemy do wszelkiej poezji”.

Słuszności tego porównania dowodzi dzieło Cotrusa. Wiersze jego, przeniknięte rumuńskim duchem i folklorem, są jednak przedewszystkiem głęboko ogólnie — ludzkie: Cotrus kocha życie i jego barwy soczyste, obejmuje je swym „pijany, łakomym, piorunowym wzrokiem”. Słońce — wiatr, szumiący w stepie — bawoły, ciężko stąpające po błotnisku: oto żywioł przyrody, który tak wielką rolę gra w utworach Cotrusa, rozproszony na powiewy, drgnienia i promienie.

Do najbardziej „żywiotowych” wierszy Cotrusa należy utwór p. t. „W stepie” — prawie pogański w swym panteizmie; jest to utwór jeden z najlepszych i świadczy on o ogólnej wartości i potędze poezji Cotrusa. Bo Cotrusa cechują siła i krzepka męskość, daleka od wulgarności; jego „Piotr Potraka” — chłop bez ziemi, oraz bez pług, lub włóczęga Jon Codru, czy też górnik, co nie ma domu, mleka ani chleba, a który jutro ujarzmi świat i sięgnie do nieba „płodny jak ziemia, huczny jak dzwon, młody i jurny” — mają w sobie coś z dawnych bohaterów starych ludowych legend rumuńskich, którym wiatr stepowy przygrywał pobudkę gdy wyruszali w pole.

Cotrus kocha te góry i stepy, o których pisze, nie tylko dlatego, że na nie pada życiodajny promień słońca, lecz i dlatego, że należą do niego, że są rumuńskie; nikt się nie weśnił w duszę tej ziemi głębiej niż oni, Rumuni. Nie zapominajmy przytem, że Aron Cotrus, syn duchownego prawosławnego i dziecię dzielnicy, która przez długie lata należała do Węgier, został jako młody chłopiec wydany do gimnazjum za wypowiedzenie swej opinii iredentystycznej. Pierwiastek patriotyczny kieruje zawsze jego czynami i myślą.

Poza tem jednak Cotrus jako poeta i Rumun posiada w wysokim stopniu rozwinięty instynkt społeczny; nad pokrzywdzonymi nędzarzami lituje się i poczuwa się do ich obrony. Pod tym względem Cotrus jest nowatorem w poezji rumuńskiej: wprowadza do niej proletariata — górnik, który skarży się jego wierszami, gdy go nadzieja zawiedzie, lub chłop, nie umiejącego klania się nisko.

Pod względem formy zewnętrznej i rytmu poezja Cotrusa odznacza się tym samym dynamizmem, który cechuje jego natchnienie. Cotrus operuje przeważnie wierszem wolnym, z przewagą czasowników i przymiotników, dodających siły jego stylowi.

Specjalne uznanie należy się tłumaczowi, Włodzimierzowi Lewikowi, który potrafił odtworzyć w przekładzie polskim nie tylko myśl, ale często i brzmienie fonetyczne, oraz układ dynamiczny tekstu rumuńskiego. Zwłaszcza jego tłumaczenie wiersza p. t. „Kosiarz” przez pomysłowy dobór słów i użycie aliteracji jest poniekąd idealną transpozycją oryginalną.

Nowy zbiór wierszy Cotrusa zostanie niewątpliwie przyjęty przez czytelników polskich z jaknajwiększym uznaniem. Ludowe tematy, poruszane przez Cotrusa (często — spokrewnione z najstarszemi polskimi wzorami) z pewnością natrafią u nas na podatny i wdzięczny grunt, tembardziej że na ich arcy-ludzkie, pełne litości i miłości bliźniego założenie nikt nie pozostanie obojętny.

Anna Kipper

S. Konstantynow: *Mapa Afryki o powiada...* Z dziejów kolonizacji Afryki. Warszawa, 1936. Wydawnictwo J. Morkowicza.

Książka ta jest przeznaczona dla młodzieży, ale czytać ją równie dobrze może i człowiek dorosły — poprostu dlatego, że szkolna nauka geografii nabrała w metodzie pisarskiej autora cech pewnego syntetycznego opracowania. Geografia stała się pod jego piórem historjografią. Że to książka dla młodzieży, świadczy prostota i przystępność wykładu, nawiązanie do wspomnień szkolnych; że to lektura, mogąca służyć i dorosłym — jej tendencja do ogarnięcia pewnych całości, chęć zrewidowania spraw, które karmieni byli ci dorośli jeszcze w czasach przed nową konfiguracją powojennej Europy.

Właściwie nie Afryka stanowi tutaj wyłączny przedmiot zainteresowań autora, na co wskazywałby tytuł. Chodzi wogóle o sprawy człowieka na ziemi, o jego bohaterstwa, jako zapamiętałego poszukiwacza, badacza i odkrywcy nowych dróg, ładów i możliwości przestrzennych, — o jego podłość, jako podstępny wyzyskiwacza, niesumiennego kupca, okrutnego władcy czy samolubnego najeźdźcy. Z wielkim realizmem autor podkreśla te dwie biegunowe cechy człowieka-zdobycy ziemi. Marksizm każe mu doszukiwać się we wszystkich zjawiskach i posunięciach materialistycznej racji stanu. Czasami jednak,

jak np. w wypadku Livingstone'a, przykład wyłamuje się z pod tezy i czytelnik przekonuje się namacalnie o irracjonalizmie wysiłków wielkich podróżników.

Kierując się wyłącznie metodą materialistycznego pojmowania dziejów, Konstantynow, wspominawszy o mapie, narysowanej przez mnicha Beatusa, podpuszcza takie oto zdanie: „Pusta i uboga była mapa Beatusa — tak jak i życie jego było ubogie i bezbarwne: odprawiał nabożeństwa, ślęczał nad książkami — zestarzał się i umarł, nie opuszczając klasztoru“. Trudno wymagać od zakonników, by robili wycieczki polarne, chociaż wiele możnaby przytoczyć przykładów „mnisiej“ przedsiębiorczości w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych, w dziedzinie rolnictwa i rzemiosł.

Jako pedagog autor pragnie, aby geografia nie była nauką nazw, zbiorem epitetów, ale by pod etykietami nauczyciel starał się wpoić uczniowi realny sposób patrzenia na świat. Niechaj dziecko zrozumie ten wielki trud, tak nikle zaznaczony na mapie, jak np. odkrycie skąd wypływa Nil, dokąd wpada Kongo i co to jest Antarktyda. Każdy znaczek na mapie — to krwawy wysiłek czyjegoś serca, woli, umysłu. To winien nauczyciel przełać w duszę ucznia, uczynić faktem. Ten zamiar autora godzi się podkreślić jaknajstawniej.

Książka należy do t. zw. literatury faktów, stanowiąc rodzaj specjalnie ceniony przez dzisiejszego czytelnika (naprz. de Cruif, Jeans i inni).

S. F.

Druk numeru ukończono dn. 16 maja 1936 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80

